ŚWIAT



Nr. 16. DNIA 22 KWIETNIA 1933 ROKU

IDYLLA WIOSENNA

Fot. T. Giżycki

TREŚĆ:

Jak jest naprawdę w Berlinie?
(Od specjalnego korespondenta)



Wielka uroczystość w najstarszym klasztorze Francji



Uroda Polki poprzez bieg historji



Mur chiński



„L'affaire Jones"
(Nowelka H. Bernsteina)



Tydzień „Świata"
Malarstwo. Literatura. Teatr



— Wiesz pan co, Pipman zdefraudował w swoim banku sto tysięcy i uciekł.
— No, a co rodzina?
— Rodzina to pokryła...
— Nie może być!
— Pokryła milczeniem.

„Cyrulik Warszawski"

Prezes Sławek, otrzymawszy od ludu zagrodę w Racławicach, został zdegradowany do IV-go stopnia służbowego albowiem:



Sławek na zagrodzie
Równy wojewodzie!

Rys. J. Zaruba *(„Cyrulik Warszawski")*

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 22-go KWIETNIA 1933 ROKU
ROK XXVIII • NR. 16 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

L'ordre régne à Berlin

(Od specjalnego korespondenta „Świata").

Z niezbyt miłem uczuciem jedzie się teraz do Berlina. Pociąg prawie pusty. Mniejszości narodowej już od Warszawy ani śladu. W Zbąszyniu wsiadają celnicy, policja, urzędnicy kryminalni i kolejowcy niemieccy. Wieje od nich zimną poprawnością. Po chwili zajeżdżamy już do... Neu Benschen — do Nowego Zbąszynia. Niema już dawnego Stentschu. Po angielsku brzmiało to zgoła nieprzyzwoicie. Neu-Benschen jest rzeczywiście nowy: wielka stacja, schludne domki, ogródki. Nie widać jakoś tej biedy niemieckiej, tego braku pieniędzy. Dobrobyt aż bije od doskonałych dróg, dobrze utrzymanych ogrodów, budowli zawielkich, jak na taką stacyjkę. Konduktor niemiecki zaczyna urzędować. Solą w oku jest mu zbyt wielki rzekomo bagaż moich towarzyszy podróży. Wraca ciągle do naszego przedziału i raz dobrodusznie, to znów groźnie powołuje się na różne rozporządzenia. Niema rady. Mój towarzysz idzie za nim na kurytarz, kilka przekonywujących słów i jeszcze bardziej przekonywujący uścisk dłoni. Bagaż jest już w porządku. Nie pamięta nikt, że za takie uściski dłoni Hitler grozi surowemi karami. Jakoś to będzie!

Wyglądam przez okno. Ani śladu rewolucji. Przez całą drogę do Berlina mignęło mi może dwóch hitlerowców. Szkaradne mundury. Wcale nie brunatne koszule, ale najprawdziwszy żółty kolor, zwany w Wiedniu „kackerlgelb"; na rękawie czerwona przepaska ze swastyką. Kepi wzorowane na dawnych austrjackich czapkach infanteryjskich.

Dojeżdżamy do Berlina. Schlesischer Bahnhof, Friedrichstrasse — wciąż ani śladu rewolucji. Nawet tu i owdzie widać na ulicy wybitnie semickie twarze. Jakieś zatroskane, melancholijne. Mały żydek że zbyt dużym kołnierzem i z przepaską na ramieniu, na której widnieje napis: „Jüdischer Bahnhofdienst", uwija się po peronie. Ale nie ma nic do roboty. Nasz pociąg nie przywiózł ani jednego żyda. Na mieście ruch normalny. Sklepy i wielkie magazyny żydowskie pootwierane. W wielkich domach towarowych, należących do żydów roi się od zakupujących na święta. W dzielnicy nad Sprewą hurtownie żydowskie w pełnym ruchu. Poznikały hańbiące napisy, niema już posterunków przed sklepami. Interes idzie. Na ulicach ani wojska, ani nadmiaru policji. Tu i owdzie maszerują „nazi" w żółtych koszulach. Gdzie rewolucja, awantury, pogromy, ofiary gwałtu? — zapytuję znajomych, sądząc w duchu, że nasze pisma tendencyjnie przesadzają.

Dopiero kilkunastodniowy pobyt w Berlinie zmienia pogląd. Tysiące, dziesiątki tysięcy pozbawiono pracy, wolności, zdrowia, nawet życia za odmienne przekonania. Ale aby dowiedzieć się, co było, trzeba zyskać zaufanie, przezwyciężyć strach przed donosicielstwem. Przecież za powtarzanie wieści o gwałtach antyżydowskich wydano już ciężkie wyroki. A co dziś czeka za murami więziennemi, można dowiedzieć się z raportów konsularnych, z pism wiedeńskich, z „Weltbühne", przeniesionej nad Dunaj. Opisy „bohaterskich" czy-

nów hr. Helldorfa — mrożą krew w żyłach. Ten praktykował widać w „Czerezwyczajce". W Berlinie niema ani jednego pisma, któreby stanowiło dysonans w prohitlerowskim chórze. Ex-żydowski „Berliner Tageblatt", liberalna prasa Ullsteinów są łaskawsze dla Hitlera od „Deutsche Allgemeine Zeitung". Zdaje się, że w Niemczech niema opozycji. Kto nie uciekł zagranicę, lub nie dostał się do więzienia, siedzi cicho, byle nie zwracać na siebie uwagi.

Jeżeli radykali niemieccy okazują tak mało hartu, czyż można się dziwić żydom, którzy nigdy kwalifikacji na męczenników nie zdradzali? Najwięcej ucierpieli i cierpią żydzi biedni, nie mający ani pieniędzy, ani stosunków. Z bogatych większość znajdzie swego „szabasgoja", który im dopomoże do obejścia nowych ustaw. Zresztą pomimo dowiedzionych faktów znęcania się, pomimo wyraźnych prześladowań, pomimo zbezczeszczonych bóżnic i cmentarzy, znaleźli się między żydami tacy, którzy przeciwstawiają się reakcji zagranicy. Związek nacjonalistycznych żydów niemieckich, związek żołnierzy żydowskich, którzy walczyli na froncie, poszczególni rabini piszą odezwy, nawołują swoich współwyznawców zagranicą do zaniechania „kłamliwej" propagandy antyniemieckiej.

Jedno jest pewne: Niemcy mogą być cesarskie, czy rewolucyjne, czerwone czy hitlerowskie — zawsze im pozostaje wspaniała organizacja. Organizacja nienawiści, organizacja bojkotu, organizacja odwetu, organizacja przemocy i, jak teraz na rozkaz z góry, organizacja pozorów — jest bez zarzutu. Cudowna, świetna reżyserja. Kto przyjeżdża z zagranicy do Niemiec, kto tu pobędzie tylko krótki czas, kto informuje się u sfer miarodajnych, ten musi być przekonanym, że Niemcom dzieje się wielka krzywda, że je szkalują. Jedna z moich znajomych zapewniała mnie — i wierzę święcie, że była o prawdzie swoich słów przekonana: „żadnemu żydowi, żadnemu człowiekowi innych poglądów włos u nas nie spadł z głowy".

Trzeba jednak umieć patrzeć, słuchać i pytać, gdzie należy, by odsłonić rąbek dobrze strzeżonej tajemnicy. Sami Niemcy nie wiedzą dzisiaj, ilu ludzi siedzi po obozach koncentracyjnych, ilu odebrało sobie życie w więzieniu, nad iloma znęcano się, nad iloma dokonano osobistej zemsty. To się potem nazywa, że „prowokatorzy w mundurach hitlerowców dokonują aktów gwałtu, by podkopać dobrą sławę przeciwników". Nasze konsulaty protestowały dotąd w 500 wypadkach znęcania się nad obywatelami polskimi. Za obywatelami niemieckimi nikt nie ma prawa się ująć. I nie tzeba się łudzić, że idzie tu o samych żydów. Przeciwnicy polityczni są jeszcze gorzej traktowani. Katolicy też nie należą do wybrańców losu i mnóstwo ich siedzi w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu.

I próżno w cztery oczy zapewniają dobrzy znajomi niemieccy, że żaden kulturalny Niemiec nie jest hitlerowcem, że jest to ruch motłochu („Pöbel"). Trudno w to jakoś uwierzyć. Prawda, że prawdziwa kultura zastrzega się przeciwko temu, co się dzieje, ale niechby się o tem dowiedzieli panowie sytuacji! Znane są wystąpienia braci Mann, potomków patrycjuszowskiego rodu, pastora Dibeliusa i innych. „Nazi" powykluczali z zakładów naukowych i akademji największe talenty, wypędzili artystów i uczonych, których podziwia zagranica. Dość wspomnieć największą niemiecką graficzkę Käthe Kollwitz.

Zauważyć można znamienną ewolucję. Ludzie, do niedawna nastawieni antyżydowsko, pod wpływem bojkotu, sadystycznego pastwienia się, poniżenia i hańby, na jakie byli narażeni żydzi, przemienili sie w filosemitów. Nawet między Niemcami, którzy à tout prix chcieliby ratować dobrą sławę ojczyzny, negując żywą prawdę, są tacy, którzy wstydzą się tego, co się działo jawnie, co się kontynuuje skrycie, zwalają odpowiedzialność na bezmyślne i zawsze do ekscesów pochopne męty.

Naiwność niemiecka, dziwiąca się reakcji zagranicy, jest chwilowo rozbrajająca. Zdziałała jednak tyle, że na całym froncie zatrąbiono do odwrotu i jakkolwiek ustna antyżydowska propaganda idzie dalej, bojkot ustał zupełnie.

Piewcą i urzędowym poeta hitlerowców jest Hanz Heinz Ewers, autor „Alraune", który potrafił aureolą otoczyć postać prowokatora, zabitego przez komunistów—Horsta Wessel'a. Ewers reprezentantem rdzennej kultury niemieckiej! To mówi tomy. Pan minister Goebbels może wydawać rozporządzenia, że artystom nie wolno produkować kiczów, że produkcja artystyczna musi być na wysokości wielkiego „przewrotu narodowego"; — to, co obecna chwila płodzi, obliczone jest wyłącznie na zysk i podniętę mas. Wszystko jest „deutsch" — dusza i krew, Pan Bóg i chrześcijaństwo, sztuka, teatr i kino. „Deutsch" jest także masło, piwo i jaja. Niewiadomo, czy śmiać się, czy płakać.

Ale i narodowi niemieckiemu trzeba coś dać wzamian za tyle obietnic, które pchnęły wyborców do urny i do szeregów szturmowych. Chleb odebrany żydom nie nasyci wszystkich głodnych i pozbawionych pracy Niemców. 6 miljonów bezrobotnych — i raptem 600,000 żydów! Rachunek łatwy. Tymczasem naród trzeba czemś nasycić. Więc urządza się nowoczesne igrzyska: parady, mityngi, cesarskie reminiscencje, dzień w Poczdamie. Co sobota tłumy hitlerowców ciągną ulicami, śpiewając „das Horst Wessel-Lied" i refren: „Gdy krew żydowska bryźnie z pod noża, będzie nam podwójnie dobrze". Śpiewają młodzi „nazi" i brzuchaci piwosze, śpiewają mali, w takt pieśni maszerujący chłopcy. Od czasu do czasu przemowy do tłumu. Ktoś krzyknie: „Hitler!" Odpowiada mu chór trzykrotnem „Heil!". — Ten sam donośny głos krzyczy „Juda!" Odzew jest: Verrecke, Verrecke, Verrecke!" (Zdechnij). Co za zabawa!

Radjo niemieckie ryczy od rana do wieczora mowy propagandowe: hymny nienawiści, żale z powodu krzywd, sławienie niemieckiego czynu. Na Kurfürstendamm grają przez cały dzień wielki propagandowy film: „Krwawiące Niemcy". Pomimo drogich miejsc, pomimo ogromu widowni, pomimo nędzy — nieustający tłok przy kasach i na widowni. Podniecenie na sali; publiczność jest dopingowana wzrokowo i słuchowo. Orkiestra hitlerowców gra wojenne pieśni niemieckie. Na ekranie: bojkot żydów i — protesty w Ameryce z udziałem pejsatych semitów i wojsk amerykańskich. Śmiech homeryczny to znów wiwaty w audytorjum. Przewija się przed widzem cała historja Niemiec od wybuchu wojny do zwycięstwa Hitlera. Wszystko spreparowane w duchu „trzeciej Rzeszy".

Tłum wyje. Wychodzą wszyscy pijani nienawiścią i żądzą zemsty. I przypominają się słowa przyjaciela, angielskiego dziennikarza, który mi kilkakrotnie powtarzał: „—Pamiętajcie o tem w Polsce: gdy się mieszka obok szaleńca, najważniejszą rzeczą jest zachować zimną krew!"

Jeżeli hitlerowskie Niemcy utrzymają się, potrzeba nam dużo, bardzo dużo zimnej krwi.

St. Gor.

Berlin w kwietniu.

Minister spraw wewnętrznych Niemiec Goering w oczekiwaniu na audjencję w Watykanie

W drodzę powrotnej z Riwiery król szwedzki Gustaw złożył wizytę prezydentowi Francji w pałacu Elizejskim



TYDZIEŃ ŚWIATA

Prawda zwycięża

(V.) Wszystkie wysiłki naszej dyplomacji i cała nasza propaganda zagraniczna nie zdołały tyle zdziałać dla sprawy przynależności Pomorza do Polski, co efekt miesięcznych rządów Hitlera. Niewzruszone nasze argumenty etnograficzne, historyczne, gospodarcze przekonały wprawdzie świat, że mamy rację, że Pomorze słusznie należy do Polski i koniecznie jest jej potrzebne; każda jednak rozmowa kończyła się małem „ale".

I to właśnie „ale" zawierało twierdzenie, że mimo wszystko, musimy z Pomorza zrezygnować... w imię zadowolenia Niemiec i ustrzeżenia Europy przed wojną.

Aż nagle to „ale" prysło. Świat przejrzał na oczy. Ujawniło się to w angielskiej Izbie Gmin. Mówcy wszystkich trzech partji wystąpili przeciw rewizji traktatów i zmianie granic. Laburzysta Attlee oświadczył, że bez Polski nie mogą niczego decydować wielkie mocarstwa; Austin Chamberlain uznał rewizję traktatów za niemożliwą, a oddanie choćby jednego Polaka pod jarzmo barbarzyństwa pruskiego za zbrodnię; nieprzyjazny nam zazwyczaj pułk. Wedywood nazwał rząd niemiecki „ulicznikami, bezczeszczącymi swą ojczyznę"; Churchil proklamował słuszność, sprawiedliwość i nienaruszalność traktatów oraz bezsporną polskość „korytarza".

Opinja publiczna Anglji przemówiła wyraźnie i mocno. Będzie to też miało odgłosy w Ameryce.

Korespondenci zagraniczni

(M.) Nie mamy szczęścia do korespondentów zagranicznych. Życzliwie witamy kolegów-cudzoziemców, zwiedzających nasz kraj; służymy informacjami; ułatwiamy podróże dokąd tylko sobie życzą; nie stosujemy propagandowego przymusu, trzymającego w ryzach takiego dziennikarza przez dodanie mu specjalnego „anioła-stróża", jak to czynią Włosi, Rosjanie, Węgrzy. Mamy otwarty kraj dla każdego zagranicznego publicysty, literata, reportera.

Nie wszyscy jednak nasi goście stoją na poziomie naszego stosunku do nich. Przyjeżdżają do Polski, najczęściej nie posiadając skali porównawczej dla widzianych zjawisk; bywa i gorzej: wprost blagują dla zaimponowania czytelnikom wymyślonemi sensacjami. Niedawno p. Dufort ogłosił, że Polacy nie używają wcale chustek do nosa, ani serwetek do ust. Teraz jeszcze zabawniejsze rzeczy o Polsce powypisywał niejaki pan Georges Simeon w tygodniku „Voilà", czytanym przez szeroką publiczność francuską. Korespondent ten twierdzi, że u nas niema wcale szos. Domy warszawskie — to same koszary. Mężczyźni po całych dniach i nocach przesiadują w knajpach i piją wódkę, a panie znów goszczą po kawiarniach. Dodaje przytem takie uogólnienie:

„Porządku jeszcze zupełnie w Warszawie niema, ale pogromy(?) już są tam rzadsze!"

Zdanie to nie przynosi chluby p. G. Simeonowi. Świadczy ono, iż... jest wizjonerem. Mógł przecież takie fantazje wypisywać i bez podróży po Polsce.

Święta...

(s.) Święta się nie udały. Pogoda była kwaśna, ludzie też. Niebu brakło słońca, ludziom — pieniędzy. Aby uniknąć kosztownego święconego i przyjęć, ze wsi uciekano do miast, a z miast — na wieś. Wszystkie pensjonaty w okolicach Warszawy wypełniły się szczelnie. Że zaś wilgoć i chłód zrażały do przechadzek, grano od rana do nocy w bridża, tu i owdzie tańczono gramofonicznie.

Święta Wielkanocne w znacznej mierze straciły swój dawny charakter rodzinny, domowy. Zmieniły się warunki życia. Z dostatnich domowych pieleszy, szeroko dla gości rozwartych, życie, zamknięte na codzień w ciasnych mieszkankach, przeniosło się do lokali publicznych, — do kawiarni, klubów, zrzeszeń. Można tęsknić za dawnemi tradycjami, przeżytych form nie wskrzesi żadna siła. Zagranicą w Święta Wielkanocne miasta huczą podnieconym pulsem. Lokale publiczne, sale widowiskowe wypełnione ciżbą. Przyjezdni mają gdzie zabawić się — i wydać pieniądze. Czy Warszawa zwolna nie będzie musiała pójść w tym kierunku?...

I czy tak będziemy bardzo żałowali owych dawnych uczt wielkanocnych, które bywały zbyt często świętem obżarstwa i pijaństwa?...

Nowy minister



Ppłk. inż. EMIL KALIŃSKI, dowódca grupy wojsk łączności, został mianowany ministrem poczt i telegrafów

Samarytańska instytucja

(iwr) Ubiegłe święta wyjątkowo tragicznie zapisały się w warszawskiej kronice nieszczęśliwych wypdków. Ofiarą szoferów, którzy nadużyli alkoholu i popisywali się „kawalerską jazdą" padło dwadzieścia kilka osób. Trzy zostały zabite, inne odniosły ciężkie obrażenia.

W związku z wypadkami świątecznymi należy napiętnować nieludzkie zachowanie się jednej z karetek pogotowia Kasy Chorych. W kilka minut po katastrofie samochodowej, jaka zdarzyła się na Saskiej kępie, przejeżdżało pogotowie Kasy Chorych. Gdy proszono o pomoc dla ciężko rannych, funkcjonarjusze pogotowia oświadczyli, że mogą zaopiekować się tylko swymi członkami, po przedstawieniu odpowiednich dowodów i „zapotrzebowań".

Ranni kilkanaście minut oczekiwali na przybycie karetki prywatnego pogotowia. Fakt ten nie wymaga dalszych komentarzy i doskonale charakteryzuje instytucję, która całą swoją działalność opiera na przestrzeganiu formalności i mnożeniu ich bez końca.

W tym biurokratyzmie mogą zatracić się nietylko właściwe cele instytucji, ale i elementarne uczucia humanitaryzmu jej funkcjonarjuszy.

Ze Stanisławowa

(Old) Zdarzyło mi się być przed samemi świętami w Stanisławowie. Miasto — jak polskie miasto: pełne kontrastów, absurdów i niespodzianek. Jedne ulice wylane asfaltem, a tuż — w śródmieściu — biegnie droga gruntowa, wyłożona odłamkami płyt, po których chodzi się, jak po klawiszach; obok wielopiętrowych gmachów — walące się chałupki; pretensjonalne wille z wieżyczkami, kolumienkami i niegustownemi ornamentami stoją tuż przy kupie gruzów, pozostałych po zburzonej czasu wojny kamienicy; cerkiew unicka wygląda zzewnątrz jak kościół, a kościół łatwo wziąć za cerkiew; do jakiejś starożytnej wieży dobudowują modernes skrzydła. Typowy małomiasteczkowy targ sąsiaduje z wielkomiejskim bazarem, krytym szklanym dachem.

W tym to bazarze mieści się wielka kawiarnia z tarasem, przyciągająca zgłodniałych podróżnych. Na drzwiach wejściowych uderza ogłoszenie:

„Z dniem dzisiejszym są następujące czasopisma w kawiarni i restauracji „Pasaż" do odstąpienia z drugiej ręki o 50% taniej: Gazeta Poranna, Gazeta Polska, Robotnik, Diło"...

Tak wyliczono kilkanaście pism. Niektóre już wykreślono. Widać znalazły subprenumeratorów. W czasach, gdy się zwalcza prywatne nadużycia z wypożyczaniem czasopism, taka hurtowa, publiczna spekulacja kosztem prasy zasługuje na silną reakcję.

W kawiarni tej spotkała mnie zresztą niezwykła przygoda:

— Proszę o szklankę białej kawy, bułeczki i masło.

— Bułek nie mamy — odrzekł kelner. — Z powodu świąt jest tylko tort i maca.

O letni czas

(js) Francja, Anglja i inne kraje Zachodu dorocznym zwyczajem przeszły na „czas letni". W pierwszych dniach kwietnia posunięto o godzinę naprzód wszystkie zegary, przedłużając dzień i skracając dla ludzi noc. W ciągu lata ludność tych krajów korzystać będzie dłużej z dobrodziejstwa słońca i światła.

W Polsce również mieliśmy letni czas jeszcze przed niewielu laty. Dla niezrozumiałych powodów zaniechano tego ze wszech miar pożytecznego wynalazku wojennego. A właśnie w Polsce bardziej, niż w jakimkolwiek innym kraju europejskim, czas letni byłby usprawiedliwiony.

Przecież Polska nie ma *własnego czasu*. Jesteśmy przytroczeni do czasu środkowo-europejskiego, właściwie niemieckiego, który o całe pół godziny wyprzedza nasz czas. Nasza oficjalna północ — to już 0.30 (z niewielkiemi odchyleniami w różnych dzielnicach kraju). U nas słońce zaszło w dn. 20 kwietnia o oficjalnej godzinie 6.38, a właściwie dopiero o siódmej. Przesunięcie zegara o godzinę dałoby w Polsce zaledwie pół godziny więcej światła i dnia, podczas kiedy na Zachodzie, w Anglji np., która normalnie w porównaniu do Polski ma czas o godzinę wstecz — w czerwcu jeszcze ok. 10.30 wieczorem bywa jasno!

Zagranicą wysuwany jest często argument przeciw letniemu czasowi, że jest on niewygodny dla rolników, którzy np. musieliby doić krowy o takiej godzinie, kiedy zwierzęta, nieświadome przesunięcia zegara, jeszcze nie są dostatecznie przygotowane do tej czynności. Ale w Polsce i te argumnty rolnicze nie są przekonywujące; wieś nasza, zdaje się, jeszcze nie używa zegarów mechanicznych i orjentuje się według słońca.

Czemu tedy odbieramy sobie półtorej godziny światła i dnia? Czemu setkom tysięcy pracowników biur i fabryk nie dodajemy godziny jasności? Czemu nie przedłużamy im odpoczynku i rozrywki letniej? Czemu nie oszczędzimy miljonów złotych na świetle elektrycznem, na nafcie, gazie?

Gorgonomanja

Drugi już miesiąc Kraków i Lwów, ba, cała Polska żyją pod znakiem Rity Gorgonowej. Nakłady pism codziennych podobno poszły w górę wszędzie, w całym kraju; publiczność zaczytuje się sążnistemi sprawozdaniami z procesu, dyskutuje na temat Gorgonowej, kłóci się o nią.

Jedno kino warszawskie nawet wyświetla film „gorgonowy": dość nieciekawe i mętne zdjęcia z wizji sądowej w Brzuchowicach. Pewnego wieczora, kiedy na ekranie ukazała się bohaterka procesu, jedna z obecnych na widowni pań zawołała głośno: Powiesić ją!

Na sali powstała wrzawa, i omal nie doszło do bójki między tymi, którzy uważają Gorgonową za sprawczynię mordu, a tymi, którzy są przekonani o jej niewinności.

Z powodu Gorgonowej odbędzie się również sprawa sądowa w Warszawie. Właścicielka jednego ze sklepów żywnościowych skarży klijentkę, która jej miała powiedzieć: „nie jest pani lepsza od Gorgonowej, tylko że tamta ładniejsza".

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

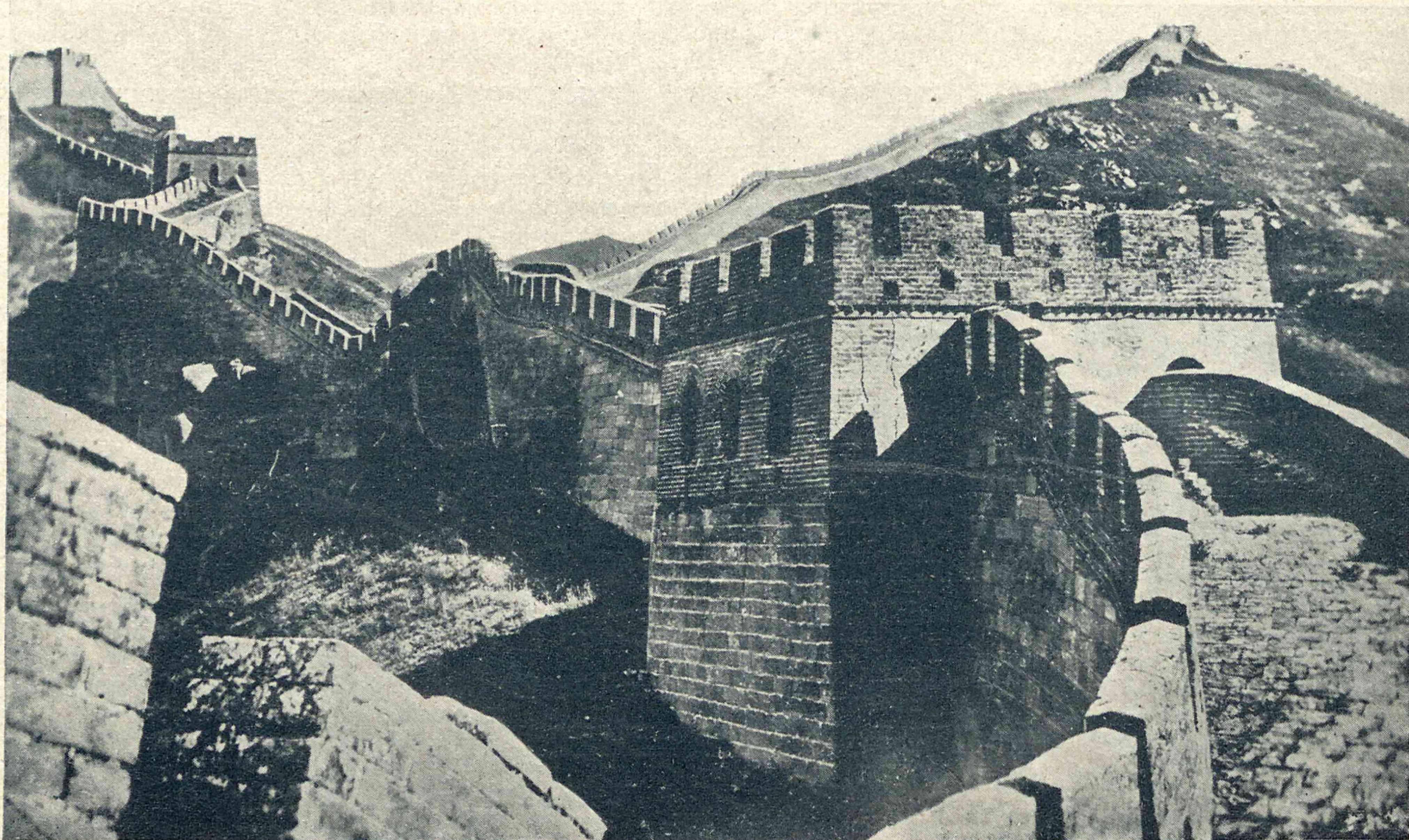


Ś. p. IGNACY BOERNER, minister poczt i telegrafów, pułkownik Wojsk Polskich zmarł w Warszawie i został pochowany na cmentarzu ewangelickim



Ś. p. ks. PIOTR MAŃKOWSKI, arcybiskup in p. in., b. ordynarjusz w Kamieńcu Podolskim, zmarł nagle w pociągu między Przemyślem a Lwowem. Pogrzeb odbył się w Łucku

WALKI POD MUREM CHIŃSKIM



Fragment Wielkiego Muru chińskiego w miejscu, gdzie tworzy on pętlice i załamania

Od paru tygodni rozwijające się działania wojenne pod Wielkim Murem Chińskim zakończone zostały całkowitem zwycięstwem Japończyków. Oddziały chińskie, złożone przeważnie z wolontarjuszy, częściowo znajdują się w odwrocie, częściowo przeszły na stronę przeciwnika, zgodnie z tradycją wojskową chińską, w której zdrada na rzecz silniejszego jest zjawiskiem zwykłem. Droga do Pekinu i Tsien-Tsinu stoi przed Japończykami otworem. Ale trzeba przekroczyć Wielki Mur, który utracił wprawdzie znaczenie obronne i mógłby być zburzony w ciągu kilka godzin, nie przestał jednak być potężną przeszkodą moralną.

Od 20 wieków stanowi on granicę między dwoma światami: światem starej cywilizacji i światem barbarji. Ludy, które przeniknęły poza mur, znikły bez śladu, wsiąkając w chińczyków; te, co nie zdołały go przekroczyć, osłabły w walkach i same poddały się zwierzchnictwu Niebieskiego Państwa.

Wewnątrz muru znajdują się Chiny właściwe; na zewnątrz — Mandżurja, Mongolja, Turkestan i Tybet. Po jednej jego stronie widzimy ludne i starożytne miasta ze wspaniałemi pałacami i świątyniami Buddy, intensywnie uprawiane pola, gęsto rozsiane wsie i fermy, widzimy mrówczą pracę, zabiegliwość, ciężką walkę o byt i niesłychane przeludnienie; po drugiej — stepy i pustynie, słabo zaludnione nawpół koczującemi, leniwemi i beztroskiemi plemionami pasterskiemi.

Różnica między dwiema krainami, oddzielonemi Wielkim Murem, jest tak rażąca, jakby je przegradzało nie kilka metrów spojonych kamieni, lecz niezmierzone obszary. To zjawisko niezwykłe świadczy o roli dziejowej Muru chińskiego.

Jest on dotychczas największą budowlą świata; biegnie na przestrzeni 2000 klm., a jeśli wziąć pod uwagę załamania, węzły i serpentyny, jakie tworzy, długość jego można określić na 2200 do 2400 klm. Wysokość muru jest różna: w niektórych miejscach dochodzi do 10 metrów, gdzieindziej — zwłaszcza na zachodzie, zaledwie wystaje on ponad ziemią. Przeważnie jednak wznosi się na 4 — 8 metr. i u góry posiada grubość około 3 metr. Nasuwało to europejczykom myśl urządzenia na murze autostraty, pozwalającej łatwo przeniknąć z wybrzeża pacyfiku wgłąb Azji.

Mur zaczyna się w portowem mieście Szanhaikwan, głośnem niedawnemi bitwami, i kończy w miejscu, gdzie góry Lungszam stykają się z pustynią, oddzielającą Mongolję od Turkestanu. Jedno odgałęzienie dochodzi aż do Kansu w Tybecie.

Co 100 — 200 metrów nad murem wznoszą się wieże i baszty 12—15-to metrowej wysokości, które służyły za strażnice, arsenały i składy żywnościowe. Najwyższa i najciekawsza część muru znajduje się w pobliżu Pekinu. Właściwie biegną tu dwa mury: wewnętrzny nazywa się „Długim Murem", zewnętrzny — „Murem Granicznym"; czasami stykają się one z sobą, to znów rozchodzą się, tworząc pętlice, ślimaki, załamania, kazamaty, przejścia i kryjówki.

Przy budowie muru używano zarówno kamienia, jak i cegły; wyzyskano też wszystkie naturalne właściwości terenowe. Biegnie on grzbietami gór, wspina tuż nad przepaściami, stapia się ze skałami, tworząc z niemi jakby jedną, zrośniętą w ciągu wieków bryłę. Trudno nieraz powiedzieć, gdzie się kończy kamienny twór przyrody, a zaczyna dzieło rąk ludzkich.

Według ksiąg starochińskich nad budową Muru pracowało ½ miljona ludzi, w tem 200 tys. uwolnionych więźniów i jeńców wojennych, resztę stanowili najęci robotnicy, majstrzy i architekci. Cesarz, który go zbudował przed Narodzeniem Chrystusa, był przekonany, że stanie się on wiecznem, niezniszczalnem zabezpieczeniem przed inwazją dzikich hord mongolskich.

Wielki cesarz nie omylił się: nie mógł on wprawdzie przewidzieć, że genjusz ludzki wymyśli ciężkie armaty, bomby i aeroplany, które to umocnienie forteczne mogą obrócić w perzynę w ciągu jednego dnia. Ale dobrze obliczył, że tak potężna konstrukcja nabierze w ciągu wieków siły moralnej, niemal religijnej i stanie się mocną symboliczną zaporą, którą nawet ultra-nowoczesne, bezwzględne i zdecydowane wojska pobratymców wyspiarskich nie tak łatwo zdecydują się przekroczyć.

W.

ZWYCIĘSKA OFENSYWA JAPOŃCZYKÓW



Przednie straże piechoty japońskiej wkraczają do chińskiego miasta

Rozbite oddziały ochotnicze chińczyków w odwrocie poza Wielkim Murem



Portret własny Fot. A. Janczewska



Marjan Ruzamski *Portret*

AKWARELE M. RUZAMSKIEGO. DEBIUT H. KARPOWSKIEJ

Marjan Ruzamski jest typem tego rodzaju artystów, którym niewiele zależy na tych wszystkich dobrodziejstwach życia, jakie stwarza rozgłos i karjera.

Gdyby mu zaproponował jakowyś pater superior habit i swobodę malowania, prawdopodobnie przystałby pod warunkiem, iż nikt w klasztorze nie będzie wiedział, że on właśnie jest malarzem, chyba aż w sto lat po jego śmierci.

Niema bowiem w przekonaniu Marjana Ruzamskiego nic śmieszniejszego, jak dobijanie się marnego rozgłosu, a co jeszcze groźniejsze—wymienianie obrazów za pieniądze.

Z tego też powodu niemało miał kłopotu pewien właściciel salonu sztuki w Warszawie, gdy przed kilku laty urządził zbiorową wystawę Marjana Ruzamskiego.

Obrazy zrobiły wrażenie, nabywców było sporo, ale autor pod żadną pracą nie chciał położyć swego podpisu. Kilka porządnych a przyjacielskich awantur skłoniło wreszcie artystę do ustępstwa, świadkiem jestem, ogromnie ciężkiego.

I takie stanowisko wobec własnej twórczości skłoniło M. Ruzamskiego do usunięcia się na daleką prowincję, w tem błogiem uczuciu, iż „sobie maluje, — a Muzom".

Od czasu jednak do czasu, dzięki podstępom przyjaciół, przedostają się jego obrazy na wystawy.

W ślad zaś za niemi idzie ostrzeżenie, że pan Marjan wynajmie armatę i wypali w Salon sztuki, bo jest ohydą chwalić się intymnemi przeżyciami z Pięknem, co jest równie niegodne, jak przechwalanie się pieszczotami ukochanej kobiety.

Niech ludzie o trzeźwym rozumie nazwą taki stosunek do sztuki dziwactwem, trudno im będzie wytłumaczyć, że upijać się również można własnem przeżyciem, a sztuka daje silniejsze i trwalsze upojenia, niż wystała małmazja.

Jakkolwiek wykształcił się Marjan Ruzamski w Krakowskiej akademji, w najbardziej materjalistycznej atmosferze, jaką znała sztuka, bo w epoce impresjonizmu, jednakże nie zabrał z niej nic, ani z jej ustosunkowania się do zjawisk, ani z koloru, ani z troskliwości o rysunek, który tak zasadniczą rolę odgrywa w pracach tego dziwnego artysty.

M. Ruzamski jest bardzo ostrożny w dobieraniu modeli do portretów. Mówią, że trzeba posiąść szczególne jego względy, by zdecydował się namalować podobiznę. Gotówka go nie przekona!

Interesuje go przedewszystkiem wewnętrzna strona człowieka. Musi wżyć się w tych, których maluje, a wtedy zdobywa się na mocne akcenty, przypominające siłą ekspresji najlepsze obrazy dawnych szkół.

I to jest godne uwagi, że tak silnie wypowiada się w akwareli, która z natury swej jest techniką delikatnych tonów i wyczuć.

Ten instrument akwarelowy brzmi pod dotknięciem M. Ruzamskiego po mistrzowsku — miękko i delikatnie w krajobrazach, które mają już ustalone imię w współczesnej sztuce polskiej, pełno i bogato w kompozycjach kwiatowych, najbardziej znamiennych dla jego radosnej kolorystyki.

M. Ruzamski stworzył swój własny styl w akwareli, a to zapewnia trwałość jego sztuce.

*

W debiut p. Heleny Teodorowicz-Karpowskiej wcieliło się przynajmniej pięciu malarzy o najróżniejszych technikach, upodobaniach, tematach i intencjach. Jakby ktoś ogromnie głodny wszedł do bufetu pod Bachusem i łykał bez wyboru, co się nawinie pod rękę.

U młodej artystki był to głód wrażeń i ta młodzieńcza pewność, że wszystkiemu podoła. Niewątpliwie, że p. Teodorowicz-Karpowska dobrze się sprawiła, wykazała biegłość obserwacji, dobre opanowanie rysunku i rozumne posługiwanie się barwami, ale to dopiero szczęśliwy początek.

Chłonąc z zewnątrz wrażenia, nie zdołała jeszcze wytworzyć własnego świata.

A od tej dopiero chwili zaczyna się prawdziwa twórczość.

Witołd Bunikiewicz.





Zaduma — *H. Teodorowicz-Karpowska* — *Ukrainka*

ŚWIAT KSIĄŻKI

PODRÓŻ DO INDYJ

Przeciętny polski czytelnik wie o Indjach bardzo niewiele. Od czasu wystąpień politycznych Mahatmy Gandhiego docierają jednak do nas wiadomości, dające w ogólnych zarysach obraz sporu hindusko-brytyjskiego. Geografję Indyj znamy z podręczników szkolnych, a historyczne informacje zawiera każda większa encyklopedja. Są to fakty notowane powszechnie i być może dlatego nie przemawiają one do wyobraźni i uczuciowości; pozostają w sferze abstrakcji i dopiero przy zetknięciu się z przeżyciem indywidualnem nabierają istotnego znaczenia. Wtedy pod akompanjament przeczytanej korespondencji, impresji, szkicu, opowiadania budzi się utajona informacja i potwierdza czy zapładnia refleksyjnie otrzymany ongiś materjał faktyczny.

Wizualny świat Indyj mieliśmy możność nieraz poznać z licznych filmów. Zaułki Kalkuty, Benaresu, Bombaju, cudowne krajobrazy podnóża Himalajów, rzeki, dżungle, świątynie, chaty przesunęły nam przed oczyma obrazy egzotyczne, może niezawsze wierne, dające jednak pojęcie o życiu fakirów, parjasów, rolników, maharadżów. Powieść angielska również wielokrotnie wprowadzała nas w ten egzotyczny, podzwrotnikowy, ponętny świat.

Naogół mimo te liczne strzępy wiadomości istota tego dalekiego kraju przedstawia się dosyć rozbieżnie, nieraz paradoksalnie. Przeciętny Polak sprowadza bowiem swoją wiedzę o tym kraju do najprostszych mianowników, jak „Najukochańsza żona Maharadży" lub „Gandhi i jego koza". Niekiedy wiedza o Indjach zawiera się w symbolu: Krisznamurtim!



Ferdynand Goetel

Warto jednak spojrzeć w to wielomiljonowe środowisko dokładniej, wnikliwiej; uporządkować sobie luźne wiadomości, wrażenia, sympatje i refleksje. Mamy właśnie dobrą sposobność: Ferdynand Goetel wydał obecnie swoją „Podróż do Indyj", ozdobioną 57 ilustracjami. Nie jest to wcale kopalnia wiedzy o tym kraju! Goetel nie przeciążał swoich impresyj i refleksyj materjałem historycznym, geograficznym, etnograficznym czy statystycznym. Książka jego jest zbiorem korespondencyj z podróży, dzieli się z czytelnikiem bezpośredniością wrażeń, sięga do uczuciowości i wyobraźni, wywołuje efekt obserwacyj nieuprzedzonych i refleksyj nieskażonych polityczną stronniczością. Polski podróżnik nie może nie mieć sympatji dla ruchu wyzwoleńczego Indyj. Podziwia mimo to pracę kolonizatorską i organizacyjną anglików. Nieraz z zaciekawieniem stwierdzi odrębność pojęć politycznych, kulturalnych, etycznych hindusów, którzy nie posiadają jeszcze świadomości narodowej, urobionej przez

wspólny język, tradycję i wiarę. Wogóle sprawa językowa w Indjach przedstawia się nad wyraz dziwacznie. Nie rozumieją jej znaczenia nawet najwrażliwsi i najkulturalniejsi hindusi. Poeci hinduscy tworzą nie w języku środowiska, z którego pochodzą, lecz sięgają po słowo właściwe cudze, perskie, bengalskie, a nawet angielskie.

„Podróż do Indyj" Ferdynanda Goetla czyta się zajmująco. W tym dziale piśmiennictwa ma on już swoją markę. Jest przecież autorem „Egiptu", „Islandji". Wzruszają i zaciekawiają rozdziały o polskich misjonarzach: księdzu Leonie Piaseckim i księdzu Władysławie Klimczyku. Refleksyjną stronę, niejako podsumowanie wrażeń i wiadomości, stanowią stroniczki, noszące tytuł „Benares". Ferdynand Goetel kończy je uwagą:

„Jako namiętny zwolennik doświadczeń naocznych, pojechałem do Indyj. Nie wiem, czym tu zrozumiał Wschód — jednakże dopiero tu zrozumiałem i nauczyłem się cenić Europę. Jest to najdonioślejszy rezultat mej podróży".

Słowa te są wskazówką dla wszystkich tych, którzy zwątpili o żywotności starej kultury europejskiej i szukają jakoby na Wschodzie odrodzenia, idealizmu, idei.

Książka Ferdynanda Goetla wprowadza ład w rozbieżne wiadomości, jakie otrzymuje przeciętny polski inteligent o Indjach przez dzienniki, kino i beletrystykę.

E. C.

Plany Goetla przy „półczarnej"

Zawsze go można zastać w I. P. S.'ie. Zapytany o pana Goetla, boy prowadzi mnie odrazu do ostatniego pokoju kawiarni i wskazuje szerokie plecy, w jasnem palcie, pochylone nad „czarną".

Ferdynand Goetel ledwo przypomina sobie umówione przez telefon spotkanie i z wyraźnie niezadowoloną miną poddaje się torturom wywiadu.

Bardzo trudno jest mówić po raz pierwszy z wielkim człowiekiem: jąkam się i mieszam tak, że znakomity pisarz jest najwidoczniej rozbawiony.

— No, cóż ja pani mogę powiedzieć o planach na przyszłość? Nie żenię się, bo już to dawno zrobiłem, o rozwodzie też narazie nie myślę... — zaczyna żartobliwie.

— A w dziedzinie literatury?

— Obecnie piszę sztukę teatralną. Tym razem współczesną, p. t. „Posąg wolności". Odrazu zastrzegam się: nie ma nic wspólnego z New-Yorkiem, ani wogóle z Ameryką. Jest to ofenzywa na przerost ingerencji haseł społecznych w życie jednostki. Pracuję nad nią około dwuch miesięcy i sądzę, że ukaże się na jesieni. Spokojny jestem o dalsze jej losy, bo lubię kończyć to, co zacząłem.

— A co do późniejszych planów?

— Tak trudno jest coś mówić zgóry! Jeszcze przed kilkoma miesiącami nie śniło mi się o tym „Posągu wolności", gdy nagle wyłoniła się jakaś myśl i zamiast projektowanych przedtem innych prac piszę sztukę. Potem mam zamiar pisać powieść. Będzie to prawdopodobnie dalszy ciąg „Z dnia na dzień". Tylko w innym już, zwykłym powieściowym układzie. Tyle narazie, bo, jak wspomniałem, planów na dalszą metę nie uznaję.

— A jakie są pana projekty podróżnicze?

— Wybieram się do Ameryki północnej — do Kanady. Stany nie interesują mnie specjalnie. Ze Wschodem postanowiłem już zerwać ostatecznie, i mam wrażenie, że moja „Podróż do Indyj" jest pożegnaniem z tą połacią kuli ziemskiej. Choć i to niewiadomo, czy mnie znów tam losy nie zagnają.. W każdym razie, w tej chwili pociąga mnie bardziej nieznany mi bliżej Zachód.

— Czy to prawda, że „Podróż do Indyj" ma być tłomaczona na francuski? — zadaję ostatnie już pytanie, bo siedzący przy sąsiednim stoliku prof. Ossendowski daje rozpaczliwe znaki udręczonemu pisarzowi.

— Na francuski i na angielski — poprawia mnie, żegnając, autor „Serca Lodów".

k w. k.

Książka angielska o Indjach

Problem hinduski zawiera wiele płaszczyzn, budzących różnego typu zaciekawienia. Jest on żywotny dla polityka, językoznawcy, etnografa, historyka, socjologa a ponętny niezmiernie dla myśliwego, turysty, sportowca. Ukazała się właśnie wszechstronna praca pułk. Roberta I. Blackhama pt. „Incomparable India" (Niezrównane Indje); jest ona szeroko omawiana i chwalona przez prasę angielską. Pułkownik Blackham miał możność obserwowania życia hinduskiego we wszystkich warstwach społecznych i z licznych miejsc. Był bowiem organizatorem angielskiego „Czerwonego Krzyża" podczas wojny i w pracach swoich stykał się i współżył ze społeczeństwem hinduskiem. Mając przytem duże zaciekawienia umysłowe, nie przechodził obojętnie koło zjawisk intellektualnych, pilnie notując ważne i charakterystyczne cechy mentalności mieszkańców z nad Gangesu oraz Indu.

Polskiego czytelnika książka pułk. Rob. Blackhama może zainteresować nietylko, jako lektura podróżnicza. Zapewne polityczne nastawienie nie wzbudzi całkowitej aprobaty, ale i ten angielski punkt widzenia nie jest bez atutów! Pułk. Blackham dowodzi przecież, iż opieka Anglji nad Indjami jest niezbędna dla ...szczęścia hindusów. Nie są oni zdolni do stworzenia między sobą związku państw czy państwa. Czyha na nich inwazja japońska! Tylko Wielka Brytanja może obronić Indje przed dezorganizacją, a nawet anarchją.

Prawdziwi przyjaciele książki

Przed laty 75 z inicjatywy Jana ks. Lubomirskiego i Jana Gauthier przy Warsz. Tow. Dobroczynności powstała bezpłatna czytelnia i wypożyczalnia książek na Starem Mieście, celem której było zaopatrywanie ubogiej ludności w książki treści moralnej i pouczającej. Przez trzy czwarte wieku instytucja ta nosząca obecnie nazwę „Towarzystwa Bibljotek Powszechnych", różne przechodziła koleje, posiada imponujące i ciekawe statystyki, obliczenia cyfrowe i t. d.



Danusia Serwańska z towarzyszem, serdeczna przyjaciółka bibljoteki na Nowem-Bródnie

Lecz od wszelkich obliczeń i zestawień ciekawsza jest bezpośredniość, jak w danym wypadku, żywy kontakt z czytelnikiem, rozsianym gęsto po krańcach miasta i szukającym w książce czegoś więcej od zabicia nudy, lub podrażnienia stępionych zmysłów.

Olbrzymią większość przyjaciół czytelń, których jest obecnie 25, stanowi młodzież szkolna i rzemieślnicza, pracownicy umysłowi i fizyczni, oraz kobiety bez określonego zawodu. Ci garną się do książki i kochają czytelnie, o których inaczej nie mówią, jak: „nasza". Kiedy przed dwoma laty z powodu braku funduszów miejskich groziło czytelniom zamknięcie, podniósł się alarm.

Rozpoczęło go Nowe Bródno.

— Jakto?... wołano — chcecie nam



Czytelnia w bibljotece na Nowem-Bródnie Fot. J. Malarski

zamknąć czytelnie? Odebrać przyjaciela — książkę, pozbawić radości i znowu wepchnąć do szynku? To miasto wydaje krocie na palmiarnie i inne zbytki, a na oświatę niema?!...

I sfery robotniczo-rzemieślnicze Bródna z białoskórnikiem p. Serwańskim na czele rozpoczęły akcję ratunkową. Zebrano mnóstwo podpisów, wysłano delegację do prezydjum miasta, zorganizowano szereg imprez dla uratowania ukochanych bibljotek. Nie dopuszczono do zamknięcia, aczkolwiek los tych naprawdę kulturalnych placówek jest więcej niż ciężki i borykają się one z przeciwnościami i brakami.

W bibljotekach największą poczytnością cieszą się autorzy polscy: Rodziewiczówna, Sienkiewicz, Żeromski, Prus, Reymont, z młodszych Kossowski, Makuszyński, Nałkowska. Z pisarzy zagranicznych: Galsworthy, Undset, Bojer, Dickens i Tołstoj. Najchętniej czytana jest powieść, następnie historja literatury, historja, podróże, lotnictwo i technika.

Godnem podkreślenia zjawiskiem jest fakt, że w bibljotekach niema zupełnie tandety literackiej. Rodzice mogą być zupełnie spokojni, iż dzieci nie dostaną do rąk złej książki. Więc napróżno szukać tu „arcydzieł" Pitigrilla, Wallace'a i naszych, domowego chowu, modnych dziś i poczytnych w salonach spekulantów plugawej sensacji.

Rzemieślniczo-robotniczy czytelnik doskonale orjentuje się w wartościach książek. W jednej z czytelń miała miejsce następująca scenka: Pewien młodzieniec przyprowadził swego kolegę, który przed zapisaniem się zapytał o powieści Zarzyckiej.

— Nie kompromituj mnie... szepce stały czytelnik, trącając w bok przyjaciela — u nas niema takiej tandety...

Z podobnem określeniem spotykają się często wypociny bardzo „głośnych, renomowanych i utalentowanych" pisarzy, zapełniających stale odcinki brukowych pismideł.

Naogół jest przedewszystkiem zapotrzebowanie na książkę polską. Gdy w jednej bibljotece zaproponowano robotnikowi powieść Dumasa, zawołał:

— E, co mi pani daje jakieś tam zagraniczne książki!... Ja chcę polską książkę!.. O, Kraszewski to jest czytanie!...

Trzeba spędzić kilka godzin w atmosferze bibljotek, zetknąć się z jej bywalcami, aby zrozumieć ich znaczenie i potrzebę. Na każdym kroku widać troskę o ich potrzeby, walkę o każdy ciężki do przeżycia dzień. Czytelnik-malarz darmo odnawia lokal, inny reperuje kontakt, lub posadzkę — książki nie giną, są szanowane i kochane.

Jaką rolę spełniają bibljoteki, najlepiej świadczą niektórzy czytelnicy: p. Aniela Jesiołowska od lat 52 stała bywalczyni lub też p. Brodzka przeszło czterdzieści lat korzystająca z dobrodziejstw wypożyczalni. W bibljotekach istnieją też specjalne działy, oraz troska o opiekę kulturalną nad dzieckiem. Wieczorynki, pogadanki, słowem, od lat najmłodszych zapoznawanie z dobrą książką.

Rola kulturalno-oświatowa, jaką odgrywają Bibljoteki Powszechne, nie da się ocenić i określić. Jest ona wprost olbrzymia i dlatego miasto powinno dołożyć wszelkich starań, aby nietylko zapewnić im byt, ale nawet umożliwić dalszy rozwój. To już nie piękny gest, lecz najkardynalniejszy obowiązek. Z pomocą, choćby w postaci darów w naturze, powinni pośpieszyć wydawcy, księgarze i wreszcie ci wszyscy, którym propaganda ukochania dobrej książki leży na sercu.

Skoro mowa o Tow. Bibljotek Powszechnych, nie podobna pominąć jego serdecznych i niestrudzonych opiekunów, członków zarządu prez. K. Zawodzkiego, K. Górskiego, M. Gorzechowskiej, A. Ryla; członków komitetu: Józefa Wielowiejskiego i M. Sobańskiej i wreszcie członków komisji finansowej b. ministra Kühna, oraz b. wiceministra T. Grodyńskiego.

w.



Czytelnia przy ul. Piekarskiej 11. Dwa pokolenia: p. Brodzka, stała czytelniczka od lat 42, i Edzio Kuliński, abonent od tygodnia Fot. J. Malarski

WIELKA UROCZYSTOŚĆ

W NAJSTARSZYM KLASZTORZE FRANCJI

Niegdyś małe rybackie gniazdo — Cannes chroniło się u stóp obronnego wzgórza, zanego Suquet, na którem wznosiła się starożytna wieża, a w cieniu jej kościół. Z wieży tej dawano lat temu już przeszło tysiąc — znaki, gdy na dalekiem morzu ukazywały się od afrykańskich brzegów statki korsarzy saraceńskich.

Naprzeciw Cannes, zaledwie o kilometr od dziś tak bardzo paryską atmosferą tchnącego bulwaru nadbrzeżnego, leżą, jak dwa kosze zieloności na błękicie morskim — dwie ciche wyspy, których historja sięga dalekich pogańskich czasów. Wykopaliska i napisy świadczą że ongiś Neptun i Venus mieli tam świątynie.

W końcu IV wieku po Chrystusie (kroniki mówią o roku 375-ym) syn patrycjuszów rzymskich, osiadłych w północnej Galji, — w drodze z Palestyny przywędrował nad brzegi morza Śródziemnego, a w pragnieniu oderwania się od wszystkiego, co ziemskie — pożaglował na jedną z tych wysepek, zwaną Lerina. — Później, gdy sława pielgrzyma przyciągnęła innych zwolenników pustelniczego życia, Lerina została ochrzczona imieniem założyciela pustelni—Świętego Honorata, — sąsiednia zaś Lera otrzymała nazwę wyspy Świętej Małgorzaty.

Czarowna legenda mówi, że gdy Honorat założył klasztor, Małgorzata — siostra jego — osiadła na pobliskiej wyspie, wraz z innemi bogobojnemi dziewicami chrześcijańskiemi. Nie mogąc się udawać na Lerinę, gdyż reguła zakazywała



Biskupi z kardynałem Binet na czele przed ołtarzem, zbudowanym na plaży w trzechsetlecie figury Matki Boskiej Dobrej Nadziei. Figurę widać na wzniesieniu



Procesja niosąca figurę Matki Boskiej Dobrej Nadziei do ołtarza, zbudowanego na plaży. Za tło służą yachty, stojące w porcie, udekorowane z powodu tego święta

wstępu kobietom, prosiła brata, by ją odwiedzał i żaliła się, że tej jej prośbie rzadko zadośćczynił. Święty ze swej strony uważał, że zbyt często widywał siostrę, której obecność odrywała go od skupienia, jakiemu całkowicie poświęcić się pragnął. To też pewnego razu zapowiedział, że odtąd widywać się będą tylko raz na rok — gdy wiśniowe drzewa zakwitają. Małgorzata błagała, płakała, — nic surowego postanowienia brata odmienić nie mogło. — Zwróciła się przeto z modlitwą do Boga i oto drzewo wiśniowe, posadzone na brzegu wyspy, zakwitało odtąd co miesiąc. Św. Honorat ujrzał w tem objawienie woli Bożej i co miesiąc, przechodząc suchą stopą morze, przybywał, by szczęśliwej Małgorzacie mówić o Stwórcy!...

. . . .

W ten sposób zapoczątkowane zostało życie w sławnym klasztorze, zwanym *de Lerins* od dawnego imienia wysp.

Na początku V-go wieku klasztor *Lerins* staje się ośrodkiem życia intelektualnego Europy — w czasach największych mroków. Otworzył on uczelnię sławną i kwitnącą, do której zjeżdżała młodzież wielkich rodów Galji, w celu kształcenia się w gramatyce, retoryce i djalektyce. — Święty Patryk, apostoł i patron Irlandji, zanim przedsięwziął ewangelizację tej wyspy, znajdującej się na końcu ówczesnego świata, — odbył dziewięć lat praktyki w regule świętego Honorata. — W VII-ym wieku rozpościera Lerins jurysdykcję na wszystkie klasztory południowej Galji, często nawet bardzo oddalone. W 690-ym roku przeor tego klasztoru miał pod swemi rządami do trzech tysięcy siedmiuset mnichów.

Bogactwa tam zgromadzone musiały pobudzić apetyt korsarzy saraceńskich. Wyprawy ich na wyspę i klasztor skończyły się parokrotnie męczeństwem mnichów. Podczas jednego z tych najazdów w dzikiej rzezi poległo przeszło pięciuset. Jeden tylko ocalał, schroniwszy się do groty podwodnej. — Pokazują ją jeszcze. Temu jedynemu ocalałemu zakonnikowi danem było klasztor z ruin podnieść.

Potem poprzez stulecia najróżniejszych kolei — dotrwawszy do Wielkiej Rewolucji, która nie omieszkała tam znów poczynić spustoszenia, Lerins przeszedł do rąk ludzi świeckich, jako prywatna rezydencja, w której w pewnym momencie mieszkała bardzo znana artystka Komedji Francuskiej z Paryża.

Dopiero mniejwięcej sto lat temu władze kościelne zdołały ponownie wejść w posiadanie Lerins i odrodzić to miejsce święte. Rzucone na wąską skałę, zawieszoną nad przejrzystością błękitnego nurtu, — stojące jakby nad brzegiem nieskończoności — jakby u samych bram nieba, wydaje się ono nieziemskiem. Pełnej niewypowiedzianego czaru wysepki tej nie można zwiedzać bez głębokiego wzruszenia; każda bowiem piędź ziemi, po której się stąpa w cieniu tysiącletnich cyprysów, prastarych świerków i dębów, mówić się zdaje o błogosławionej, męczeńskiej jej historji.

Obecnie mieszka tam kilkudziesięciu zakonników.

* *

Trzysta lat temu mnisi z Lerins ofiarowali kościołowi na Suquet, u stóp którego leży Cannes, figurę Matki Boskiej Dobrej Nadziei *(Notre Dame de l'Espérance)* Co sto lat miała Ona odbywać pielgrzymkę do rodzimego klasztoru na wyspie, a z Nią cały lud prowansalski. Rocznica ta wypadła niedawno.

We Francji jednak procesje zabronione są poza obrębem kościołów i cmentarzy. Władze miejskie Cannes po długich naradach, pod pozorem święta historycznego, wydały specjalne pozwolenie na urządzenie uroczystości Matki Boskiej Dobrej Nadziei w przekonaniu, że zjazd wielu dygnitarzy kościelnych i wspaniała ceremonja ściągnie wielkie tłumy przyjezdnych i przyniesie miastu poważny dochód.

Zbudowano przeto ołtarz na południowej plaży i figura Madonny z wielką procesją wyprowadzona została z kościoła na wzgórzu.

Co mogło być wspanialszego nad ten widok ścielący się u Jej stóp?! — Morze, port, białe żaglowce na błękicie wody, dziesiątki yachtów lekkich, jak pióra, a dalej jeszcze — dwie szmaragdowe wyspy.

. . . .

Po przez stare, wąskie uliczki, przybrane girlandami i chorągwiami wszystkich kolorów, prowadzono świętą figurę przy śpiewie setek dziewcząt w prowansalskich kostjumach.

Procesja, poprzedzona sznurem księży z biskupami na czele dotarła do ołtarza na brzegu morza, gdzie tłum olbrzymi wysłuchał solennej mszy, odprawionej przez kardynała Binet, w otoczeniu kilkunastu biskupów.

Po mszy wprowadzono Madonnę na rybacki statek, na którym mnisi z wyspy po nią przyjechali. — Białe ich suknie, zielone palmy, któremi powiewali — złoto figury — barwne kostjumy dziewcząt — przepych szat biskupich — między któremi odznaczała się purpurowa plama kardynalskiego płaszcza, na tle niebieskiego dywanu fal, a w głębi sylwetki szarych gór Esterel i głębokiej zieleni wysp, do których rozśpiewane, ukwieco-



Fragment procesji, udającej się z kościoła w Cannes ku wybrzeżu morskiemu.



Wyspa Saint Honorat z wieżą, która służyła za schronisko przeciw najazdom korsarzy



Cmentarz mnichów na wyspie St. Honorat

ne statki majestatycznie się zbliżały, — wszystko to było niezwykłym, średniowiecznym, imponującym obrazem.

* * *

Statek dobił do małego portu pielgrzymów. Teraz z przeorem na czele procesja rozwija się pod świerkami. — Ciemna aleja cyprysów odwiecznych wiedzie do klasztoru; — ziemia pod stopami się usuwa, jak piasek pustyni.

Oto klasztor. — Na cześć Madonny szeroko brama otwarta i dziś w drodze wielkiej łaski progi jej przestąpić mogą kobiety, — Żadnej z nich bowiem nigdy tu wejść niewolno, chyba że jest królową. — Tak głosi reguła. Te, które nie zdołały wejść do środka, probują zajrzeć poprzez bramę do tajemniczego ogrodu pustelników, gdzie właśnie biały zakonnik z uśmiechem ukwieca symbolicznemi różami postać Świętej Dziewicy z marmuru.

* * *

Ku wieczorowi Madonna, eskortowana jak poprzednio, wróciła do cichego kościołka przy odwiecznej wieży na wzgórzu. Po tem święcie, na które nowych sto lat trzeba będzie czekać, znalazła się znów ponad ołtarzem, między srebrnemi kandelabrami i dwoma wazonami pełnemi róż.

Dobiega tu czasem śmiech dzieci, bawiących się na placyku, albo ciszę przerywa szmer pacierzy staruch prowansalskich, które od wieków tu klękają — zawsze takie same: w czarnych sukniach i wielkich czarnych kapeluszach, z pod których wyglądają suche, pomarszczone, jakby woskowe twarze o wyrazie słodkim i promiennym.



Ołtarz, zbudowany na plaży w Cannes

...Szmer pacierzy płynie jednostajnie bez dźwięku i echa: „Dziewico... Gwiazdo poranku, Matko Dobrej Nadziei... Matko biednych marynarzy, chłopców okrętowych i wszystkich tych, którzy giną na morzu — zmiłuj się nad nami!"

St. Jankowska.

NA ŁAMACH PISM

CO POWIEDZIAŁ P. PREZYDENT?

(W.) Wielkanocny numer „Ilustr. Kurjera Codziennego" zamieścił długą rozmowę swego współpracownika, p. K. Wrzosa, z P. Prezydentem Rzeczypospolitej. Niezwykle to interesujący wywiad, odsłaniający nam — według trafnego określenia interwiewującego dziennikarza — „prawdę o człowieku, który jest prezydentem".

Jak wiele bowiem dowiedzieć się można o Prezydencie Mościckim z jego wspomnień z czasów, gdy był naczelnym dyrektorem Chorzowa:

— Pamiętam — mówił — pierwsze zetknięcie z robotnikami w Chorzowie. W kantynie miejscowej zebrało się 700 — 800 robotników. Powiedziałem im, że od tej pory pracować będę dla własnego państwa. Kiedym skończył, zapytałem: „Czy trzeba wam to przetłumaczyć? Czy chcecie, abym przemówił do was po niemiecku?" Odpowiedzieli mi burzą protestów. „Nie chcemy, nie chcemy". Od tego czasu mówiło się w fabryce tylko po polsku.

Ale polonizacja, to nie wszystko. Trzeba było zdobyć zaufanie robotników, którzy nie entuzjazmowali się bynajmniej nowymi inżynierami. Musiało się fabrykę tworzyć wprost od nowa. I trzeba było widzieć, jak z miesiąca na miesiąc rosły doświadczenia. I trzeba było widzieć wrażenie robotników, gdy fabryka doszła do produkcji, którą zostawili poprzednicy. A potem poszliśmy dalej. Wówczas dopiero, gdy przekroczyliśmy dawną wytwórczość, zespół inżynierów zdobył sobie zaufanie robotników. Robotnicy, którzy przez wiele lat pracowali pod dawnem kierownictwem, nabrali przekonania do polskich umiejętności.

— Zapowiedziałem inżynierom, iż nie życzę sobie, aby robotnicy byli przez nich maltretowani. Robotnikowi musi być w fabryce dobrze.

Na tle takiego poglądu na współpracę kierowników przemysłu z robotnikami uwydatniają się społeczne zapatrywania P. Prezydenta Mościckiego:

— Czy kapitalizm, zdaniem Pana Prezydenta, przeżył się? — zapytał dziennikarz.

— Ustrój kapitalistyczny w teorji — odrzekł Pan Prezydent — nie przeżył się, tylko zwyrodniał w niesolidności ludzkiej. Na tem polega cała słabość ustroju. Tkwi ona w tem, że pozwolił on na rozwinięcie się najwstrętniejszych paskudztw, które pochodzą z chciwości ludzkiej. W tem leży jego błąd, i nie tworzy on pewnych gorsecików, które byłyby w stanie utrzymać jego „linję". Chciwość rozkłada organizm kapitalizmu w brzydki sposób.

— Co Pan Prezydent sądzi o komunizmie? — brzmiało dalsze pytanie.

— Cały ten eksperyment komunistyczny jest tak nadzwyczajnie pouczający. On też stanowi przykład, że reformowanie świata w sposób narzucony zgóry nie może mieć powodzenia.

— Niema ustroju skończonego i niema ustroju skończenie doskonałego — mówi dalej P. Prezydent. — Świat jest ciągle w ruchu i winien być w ruchu — ku szczytom. Nie wyobrażam sobie ustroju, któryby się miał zatrzymać w miejscu. Najwięcej piękna i zdrowia mieści się nie w jakiejś skończonej formie, lecz w życiu, w ewolucji. Ewolucja zaś ustrojowa, to marsz z roku na rok w górę.

— Jak nazwałby Pan Prezydent cel, ku któremu idzie człowiek?

— „Lepiej" — oto cel, ku któremu dąży ludzkość. To „lepiej" jest dla człowieka rzeczą tak wielką i doniosłą, że wybór ustroju wydaje się poprostu głupstwem.

URODA POLKI
POPRZEZ BIEG HISTORJI

II.

Tonący okręt Rzeczypospolitej nie pociągnął w toń wytwornej pani. Trochę tylko, na znak żałoby, przybladło uróżowane lico, a ciemne (według „rewolucyjnej" paryskiej mody) włosy — woal liljowy przysłania. Gorliwiej się też do ksiąg mądrych przykłada, nad ratunkiem „de ce pauvre pays" przemyśliwując. Bardzo jej wszakże z żałobą nie do twarzy i z wielką radością powita wojska francuskie, nieszczęśliwej ojczyźnie wolność niosące, a jej — radość i zabawę.



Marja Colonna-Walewska

Nieodżałowanego króla w miłości i zabawie zastępuje godnie uroczy w ułańskim mundurze „książę Pepi" — i bale w pałacu „Pod Blachą" w niczem nie ustępują świetnością dawnym dworskim zabawom. Na sali króluje smukła postać, w greckiej, powłóczystej szacie „Directoire" na sławną Madame Recamier ucharakteryzowana, z mnóstwem loczków niesfornych koło wdzięcznej twarzyczki rozwianych. — Jej wielkie, błękitne, naiwne oczy oczarowują „boga wojny" — Napoleona. Wobec „douce Marie" — Mały Kapral zdobywa się na miękkie, tkliwe akcenty dworności ludwikowych czasów. Czar Polki — ten specjalny urok, któremu wielokrotnie ulegali wielcy cudzoziemcy, — przetrwał wszystkie burze życia: panią Walewską wspomina cesarz Francuzów jeszcze na wyspie Ś-tej Heleny.

W kraju ostateczna klęska niewoli usuwa kobietę od życia publicznego. Zgodnie z przykazaniami zacnej Klementyny z Tańskich dawna „dama wytworna" na kluczyk od śpiżarni zamyka sobie życie, zasklepiając się w ciasnem kole rodzinnego domu. W Warszawie wprawdzie, przy dworze Konstantego odbywają się nadal bale z udziałem pięknych pań z arystokratycznych domów, znikła jednak bez śladu dawna wesołość: życie biegnie sennie i ospale i nawet zawrotna karjera Jeanetki Grudzińskiej nie wywołała należytej „żaluzji" („jalousie"). — Tylko na Litwie, pomimo potwornego ucisku, wre młode życie, skupiając się wokół uniwersytetu. — Na widownię — po dawnych wojewodzicach i kasztelanach — wkracza niepozorna grupka szlacheckiej młodzieży. — Zan, Odyniec, Mickiewicz — tworzą nową arystokrację ducha. Tu, wśród tej młodości „wylatującej nad poziomy", gdzie wre walka konspiracyjna z najeźdźcą, szumi beztroska zabawa, powstaje nowa, krańcowo od wymyślnych epigramów XVIII wieku różna — poezja uczucia. Tu kwitnie świeża, napół dziecinna miłość do dziewczątek skromnych, cnotliwych i bezpretensjonalnych, które potem natchnienie poetów w szaty heroin ubierze...



Delfina Potocka

I zamarzyło się białej panience ze dworu o laurach bladej kochanki Werthera—Charlottv, a choćby Mickiewiczowskiej Maryli. Jak na



Eliza Zygmuntowa Krasińska



Ewa Hańska, miłość Balzac'a



Joanna Bobrowa

gotowalni rokokowej pani wśród puzder z bielidłem i różem leżał tom gruby Voltaire'a — niezawsze rozcięty, — tak teraz w saloniku romantycznej dziewicy na poczesnem miejscu spoczywa sztambuch pełen listków i kwiatów suchych, drobnem pismem poetów zapisany. Bladą, wychudłą, od różu wolną twarzyczkę zraszają częste łzy czułe nad losami Werthera wylewane. Oko ma wielkie, pełne obowiązkowego smutku; silnie podkrążone, co z wyżółkłą od anemji cerą — tworzy wielce interesujący kontrast. Ta męczennica, której do urojonych cierpień przybyła jeszcze żałoba narodowa po upadku powstania, dzięki niezrównanej kosmetyce romantycznej pendzla przechodzi do historji w pełnym blasku urody, w mgliste fantazji szaty spowita mieszkanka tęczowych zamków na lodzie.

Długi mamy szereg pań owych romantycznych: dziewic czystych i „dusz nieodgadnionych", przez Francuzów „femmes incomprises" zwanych. Jest tam „anioł smutny na cmentarzu, co zowie się Eloe, a urodził się z łzy Chrystusowej na Golgocie" — Klaudyna Potocka — i wspaniała, w stylu George Sand, rozpustnica, Delfina — natchnienie autora „Przedświtu". Jest czarująca gąska — pani Bobrowa, która dla wielkiej miłości „drobne odjechała dziatki" — i przez krwawe życia drogi do mistycznej doskonałości doszła... I Ewa Hańska, co na złą drogę — według Francuzów — Balzac'a — Adama sprowadziła. I wiele, wiele innych...

K. Wigura-Kobyłecka

ŚWIAT TEATRU

Warszawskie Teatry Miejskie

WZNOWIENIE „PANA JOWIALSKIEGO" W NARODOWYM.

Przypomnienie, po 5 latach niegrania, wesołej komedji-krotochwili Fredry (ojca) „*Pan Jowialski*" jest nietylko aktem pietyzmu—ze strony kierownictwa Teatru Narodowego — dla największego komedjopisarza polskiego; jest to dla publiczności cudowna okazja do spędzenia najmilszego wieczoru teatralnego, do wykąpania się w śródłach najczystszego, najszczerszego humoru polskiego i elementarnie wesołej zabawy; to wreszcie możność — dziś coraz rzadsza! — zobaczenia rasowo dobrego przedstawienia teatralnego, z taką arcykreacją kunsztu aktorskiego klasy najwyższej, jak Ludwika Solskiego zachwycająco jowialny — Jowialski. A gdy w dodatku w koronie widowiska lśnią takie klejnoty humoru komedjowego, jak: Ćwiklińskiej, zamaszysta szambelanowa, Czaplińskiej Jowialska, Linderfówny urocza Helena i Józefa Węgrzyna rozigrany Ludomir; gdy obok nich stają do apelu fredrowskiego tacy aktorzy, jak: Samborski—Janusz i Justjan—Szambelan (pierwszy występ artysty po półtorarocznej nieobecności w Warszawie) oraz najmłodszy „nowozaciężny" pierwszej sceny polskiej p. Stefan Michalak w młodzieńczej roli Wiktora — to takie arcywidowisko Teatru Narodowego będzie rozkoszą dla starszych i znawców i najmilszym obowiązkiem dla młodzieży — która pójść winna gremjalnie...

Uchwały sejmu aktorskiego

Tegoroczny Walny Zjazd „Zaspu" odbywał się w atmosferze silnego podniecenia. Nieudana impreza Teatru Artystów — przy lekkomyślnej gospodarce doprowadziła „Zasp" do fatalnej sytuacji materjalnej. Na Zjeździe bowiem stwierdzono fakt, że pasywa Związku wynoszą obecnie 600.000 zł. i jeżeli nie doszło do zupełnego bankructwa — to tylko dzięki energji honorowego prezesa, p. Józefa Śliwickiego, który ująwszy w najtragiczniejszym momencie wodze spraw „Zaspowych" — zdołał uratować przynajmniej fundusze społeczne przed naruszeniem oraz rozwikłać tak aferę Teatru Artystów, że „Zasp" wyszedł z niej ze stratą „tylko" stukilkudziesięciu tysięcy złotych.

Zjazd uchwalił dla p. Józefa Śliwickiego daleko idące, prawie dyktatorskie pełnomocnictwa , poczem zdołano przekonać honorowego prezesa, aby przyjął stanowisko prezesa rzeczywistego.

Obok Józefa Śliwickiego w skład zarządu wchodzą obecnie: Jan Bonecki, Tadeusz Chmielewski, Freszel, Maurycy Janowski, Edmund Minowicz, Popowski, Helena Sulima, Stefan Wroncki, Zbigniew Ziembiński.

Jan Pawłowski został skreślony z listy członków „Zaspu" — bez prawa rekursu — za działanie na szkodę Związku. Ponadto uchwalono dochodzić sądownie od p. Jana Pawłowskiego należności w stosunku do „Zaspu" — zarówno już ujawnionych, jak i tych, które będą ujawnione w przyszłości.

„Zasp" zamierza również sądownie dochodzić niezwróconych pożyczek od tych członków, którzy będąc dobrze sytuowani nie poczuwają się jednak do spłacania długów.

Zjazd powziął znamienną uchwałę, że „Zasp" odtąd nie będzie prowadził żadnych teatrów na własny rachunek, ponieważ stanowisko przedsiębiorcy niezgodne jest z zasadniczemi celami instytucji zawodowej. Zjazd uchwalił przekazać nowowybranemu Zarządowi ustalenie, kto ma być uważany za bezrobotnego aktora, przyczem brana będzie pod uwagę ilość przepracowanych sezonów w stosunku do ilości sezonów bezrobocia. Prawdopodobnie ten system spowoduje wykreślenie pewnej liczby „chronicznie bezrobotnych" z listy członków.

(j. m.).

Aktorzy i autorzy

Tegoroczny zjazd ZASP'u naogół upłynął w nastroju raczej minorowym. Zdarzały się jednak momenty przygodnej wesołości. Tak np. gdy został odczytany wniosek Związku Autorów Dramatycznych, żądający, by autorom dramatycznym przysługiwało prawo reżyserowania swoich sztuk i brania w nich udziału w charakterze aktorów (podobnie jak aktorom nie zabrania nikt pisać sztuk teatralnych) — jeden z przysięgłych komików teatrzykowych zgłosił kontrwniosek tej treści:

„Aktorom, członkom ZASP'u, nie będzie wolno przez lat dziesięć pisać sztuk teatralnych".

— Będziemy kwita z autorami — zakonkludował...

Trzy O...

Zjazd Aktorów, jak wiadomo, uchwalił, że Związkowi Artystów nie wolno prowadzić imprez teatralnych na własną odpowiedzialność finansową.

— Cóż tedy będzie ze Zrzeszeniami? — zapytał z głęboką troską jeden z artystów prowincjonalnych, nie rozumiejący już innej formy istnienia teatru.

— Możecie sobie tworzyć koleżeńskie spółki zrzeszeniowe z „ograniczoną odpowiedzialnością", t. zw. o. o., wyjaśnił kolega „zarząd".

— Dwa „o" to mało — wtrącił się drugi „prowincjał" — będziemy tworzyli spółki na trzy „o": „z ogromnie ograniczoną odpowiedzialnością"...

— Proponuję poprawkę — dorzucił trzeci. — „Z odpowiedzialnością ograniczoną do 0".

— To znaczy?

— Do zera.

W kilku wierszach

Nowy autor dramatyczny polski

W Teatrze Kameralnym pod dyrekcją Karola Adwentowicza najbliższą premjerą będzie nowa 4-aktowa sztuka oryginalna p. t. „*Zabawa*". Autorem jej jest znany adwokat i publicysta p. Wilhelm Hofmokl-Ostrowski. Premjera oczekiwana jest z zainteresowaniem.

Bałucki na scenie rosyjskiej

Teatr Rosyjski w Rydze wystawia w najbliższym czasie znaną komedję Michała Bałuckiego „*Klub kawalerów*". W komunikatach teatralnych powiedziano, że jest to sztuka polska, która przed wojną była jedną z najulubieńszych komedji na wszystkich scenach rosyjskich. Reżyserję powierzono wybitnemu artyście Zespołu, jednocześnie kierownikowi Teatru Polskiego w Rydze, p. Władysławowi Czengieremu.

Jubileusz, którego w Niemczech nie będzie

W dniu 13 kwietnia upłynęło 150 lat od dnia wystawienia jednego z najgłośniejszych dramatów klasycznego repertuaru niemieckiego, słynnego „Natana mędrca" (Nathan der Weise) Lessinga. Jeszcze przed trzema miesiącami — w poprzednim *régim'ie* politycznym — jubileusz ten obchodzonyby był napewno wznowieniem tej tęgiej i naprawdę „mądrej" sztuki na wszystkich wybitniejszych scenach Niemiec. Dziś nietylko nie znalazł się ani jeden teatr, który zaryzykowałby wprowadzenie „Natana" na afisz, ale nawet w jedynym artykule okolicznościowym, jaki ukazał się w prasie berlińskiej, nie wspomniano ani słowem o tem, do jakiej narodowości „Mędrzec" należał...

Habent sua fata...

Z MUZYKI



P. Róża Benzełowa, znana i ceniona w szerokich kołach towarzyskich i muzycznych stolicy pianistka, grała w Filharmonji Warszawskiej z dużem powodzeniem 2-gi koncert C-moll Henryka Melcera na wieczorze, poświęconym pamięci tego nieodżałowanego muzyka i kompozytora

Dożywianie bezrobotnych literatów, aktorów i malarzy w Paryżu

Kryzys gospodarczy wyrzucił na bruk i pozbawił pracy liczne rzesze literatów, aktorów i malarzy francuskich. Znalazła się też i spora paczka bezrobotnych dziennikarzy, choć Paryż słynie z wielkiego popytu na pracę publicystyczną i reporterską. Bieda zmusiła rzesze te do szukania pomocy społecznej! Znaleźli się ludzie dobrej woli i ofiarni, którzy zorganizowali kuchnie dożywiające bezrobotnych inteligentów.

Na czoło wysunęła się stołownia, zarządzana przez „Koło Ronsarda". Wstęp mają wszyscy zorganizowani za legitymacjami swoich związków. Otrzymują za 1 fr. (35 gr.) śniadanie lub obiad. Istnieje i stół bardziej luksusowy: posiłek kosztuje 2 fr.

Stołownią tą kieruje markiza de Ganay. Stała się ona bardzo popularna w całej Francji, gdyż niema pisma paryskiego, by nie zamieściło feljetoniku, anegdoty, reportażu, chwalącego ofiarną markizę. Ukazały się nawet piosenki żartobliwe a wdzięczne.

Humor teatralny

SIEDEMDZIESIĄT PIĘĆ W CIENIU!...

W Teatrze Nowym, jak wiadomo, cieszy się ogromnem powodzeniem komedja Niccodemiego „Cień". Wielu odchodzi od kasy, nie mogąc otrzymać biletów. Wobec takiego sukcesu zdziwienie wywołuje wiadomość, że sztuka już w końcu b. miesiąca ma zejść z afisza. Dojdzie ona wtedy do rekordowej cyfry — 75 kolejnych przedstawień.

Dowcipniś jakiś znalazł w tej liczbie rozwiązanie zagadki.

— Siedemdziesiąt pięć „w cieniu"! Kto by wytrzymał takie gorąco!...

H. BERNSTEIN

„L'AFFAIRE JONES"

Od trzech dni jestem więźniem politycznym, zamkniętym w Santé. Cały Paryż poruszony, pisma przepełnione artykułami o mojej osobie. W Izb'e Deputowanych mówią o mnie. Motłoch domaga się mej głowy. Tak przynajmniej twierdzi stróż więzienny.

Jestem wielkim zbrodniarzem, wrog'em Francji, szpiegiem, konspiratorem, Bóg wie czem.

Tyle rzeczy o sobie słyszałem w ciągu tych trzech dni, że poprostu tracę głowę, a jednak twierdzę uporczywie, że nazywam się Henryk Jones z Windfall-Georgji i że przyjechałem do Francji w celu napisania książki kucharskiej. Nic ponadto! Książki kucharskiej, która będzie apoteozowała wyższość kuchni i win francuskich na złość mieszkańcom Windfall w Georgji, którzy wyśmieli mój przepis na potrawkę z kukurydzy.

A jednak jestem więźniem politycznym. „L'affaire Jones" zajmuje wszystkich. Jak to wytłomaczyć? Zrozumiałem tylko to, że każda kwestja we Francji, czy to chodzi o miłość, sztukę, czy o sztukę mięsa, łączy się zaraz z długami wojennemi i bitwą pod Verdun. Jeżeli tylko zajdzie nieporozumienie między Francuzem a Amerykaninem, zaraz wypomną długi i bohaterstwo i dlatego patryjotyzm właściciela restauracji i patryjotyzm gospodyni sprzysięgły się na moją zgubę.

Przed trzema dniami niejaki p. Gauthier wpadła jak bomba do mego pokoju, gdzie najspokojniej pisałem o wyższości francuskiej kuchni nad naszą. Gruba jejmość rzuciła się na mnie, jak furja, z pretensją, że zamieniłem w pewnej restauracji stary płaszcz na nowiusieńki — własność jej męża. W kieszeni płaszcza znajdowała się kartka papieru z moim adresem i do tego własnoręcznie napisanym. Musiałem komuś dać swój adres i ten ktoś zamienił palto. Pani Gauthier była nieubłagana. Miotała się, wspominała Verdun, groziła policją.

Musiałem pójść z nią do właściciela restauracji, żeby stwierdzić moją tożsamość. Byłbym to zrobił z rozkoszą, żeby się pozbyć baby, ale właśnie restauracja „Trzech Bram" łączyła się dla mnie z niemiłem wspomnieniem. Przed kilku dniami pokłóciłem się śmiertelnie z właścicielem z powodu źle usmażonej cynaderki i sfałszowanej butelki St. Emilion.

Trudno jednak, trzeba było pójść, żeby stwierdzić, że od trzech tygodni noga moja tam nie postała.

Na ulicy oskarżycielka obsypywała mnie gradem wymyślań, wspominając przytem Verdun, długi, Francję.

— Moja pani — tłumaczyłem jej niecierpliwie, cóż Francja ma do mego paltota? Nie jest to konflikt międzynarodowy, tylko sprawa lokalna, zechce pani na chwilę zapomnieć o Francji.

— Nigdy nie zapomnę swojej ojczyzny. Niech żyje Francja!

Tłum nas otoczył i, widząc Francuzkę i Amerykanina, zaczęli krzyczeć:

— Niech żyje Francja! i precz z cudzoziemcami!

Z wyjącą eskortą doszliśmy do restauracji. Najuprzejmiej poprosiłem właściciela o skonstatowanie faktu, że od dłuższego czasu nie byłem u niego i wyraziłem nadzieję, że nasze małe nieporozumienie co do jego kuchni i wina zostało wymazane z pamięci. Odpowiedział drwiąco:

— Pan jest wrogiem francuskiej kuchni!

— Nie jestem wrogiem dobrej francuskiej kuchni i właśnie piszę o niej książkę.

— Napewno, żeby nas dyskredytować — odpowiedział. — Zawsze napadacie na Francję, która ocaliła was pod Verdun i zamiast wdzięczności domagacie się spłaty długów.

— Mój panie — to nie jest kwestja Francji, tylko mego palta. Może pan zechce potwierdzić, że nie jadłem u niego śniadania, zatem nie mogłem zamienić palta.

— A ja twierdzę, że to jest kwestja Francji — zawołał podniesionym głosem. — My, cośmy byli pod Verdun...

— Zapomnij, do djabła, o Verdun, mój panie, i proszę powiedzieć tej osobie, że nie byłem w pańskiej restauracji!

Restaurator spojrzał na mnie z góry:

— Zapomnieć o Francji, — o Verdun! nigdy! Niech żyje Francja! — i okrzyk ten powtórzyło kilkadziesiąt osób.

Nadeszła policja. Tłum wył:

— To nieprzyjaciel Francji, to szpieg, precz z nim, do więzienia, długi wojenne, długi!

Nie miałem przy sobie papierów, zawędrowałem do więzienia pod eskortą wyjącego tłumu.

Rozpoczęła się wędrówka z komisarjatu do komisarjatu, moi prześladowcy poszukiwali szpiegów i zdecydowali, mimo moich dowodzeń, że jestem niebezpiecznym agitatorem, może nawet szpiegiem.

Noc spędziłem bezsennie — wszystko kotłowało się w mojej głowie:

Paltot — śniadanie — kartka papieru — tłum — szpieg — więzienie.

Dręczył mnie ten świstek papieru, absolutnie nie mogłem sobie przypomnieć, komu dałem swój adres.

Rano dozorca przyniósł mi gazety, wszędzie wiadomości o aresztowaniu niebezpiecznego szpiega, który stał na czele bojówki, mającej przewrócić Rząd Republiki. Szpieg tem działał w Syrji w czasie powstania Druzów, nie były mu obce zamieszki w Indo-Chinach, był prawą ręką Abd-El-Krima. Ostatnio działał w Moskwie i Berlinie, zabiegał o względy faszystów we Włoszech, wszędzie na zgubę Francji.

To wszystko pod pokrywką amerykańskiego obywatela, który z bezczelnym cynizmem obrał sobie Paryż za teren propagandy. Obsypał gradem przekleństw uczciwą kobietę, która wyraziła swoją miłość ojczyzny, probował zrobić manifestację antifrancuską na ulicach Paryża! W znalezionych notatkach wiadomości o fortyfikacjach i garnizonach, pod umówionemi nazwami win i potraw francuskich.

Niektóre pisma oburzały się na rząd, że tolerował tego złoczyńcę — inne znów broniły rządu.

Pierwszą moją myślą było udać się pod opiekę amerykańskiej ambasady, ale tam zapewne zgłosiliby się do Windfall po informacje i moi tamtejsi wrogowie cieszyliby się z mojej przygody.

Postanowiłem napisać do trzech amerykanów mających wysokie stosunki we Francji, listy dałem naczelnikowi więzienia i uspokoiłem się trochę.

Potem ludzie z Quai d'Orsay wzięli mnie w ogień krzyżowy pytań. Odpowiedziałem raz jeszcze, że jestem niewinny, że to sprawa zamienionego palta. Co, palta? Cóż ma palto do tego, — to sprawa spokoju Rzeczypospolitej Francuskiej.

21 VI. Dotąd siedzę w więzieniu i ani słowa od moich przyjaciół. Gazety stale się mną zajmują, demonstracje pod oknami więzienia codzień się odbywają. Dozorca pozwolił mi zaglądać przez okno korytarza podczas przechadzki, ujrzałem tłum rojalistów uzbrojonych w kije, którzy krzyczeli: „Niech żyje król", „niech żyje Daudet", „precz z rządem". Wkrótce przedefilowało kilkuset komunistów z okrzykami na cześć Sowietów i znów mała armja socjalistów wołających „niech żyje socjalizm".

— Niech pan patrzy, co pan narobił, — rzekł dozorca. — Ja, Henryk Jones, to zrobiłem, chcąc napisać książkę kucharską?!

— Niech pan powie, panie dozorco, poco są tu komuniści?

— Prawdopodobnie, ponieważ jest demonstracja socjalistów, socjaliści przyszli z tego samego powodu.

Co za dziwna historja! Z powodu zamienionego palta ja siedzę w więzieniu, rojaliści chcą króla, komuniści — Sowietów, socjaliści — zniesienia kapitalizmu. Dozorca jest bardzo miły, ma sześcioro dzieci, gdy wyraziłem zachwyt nad tą ilością, powiedział: — To dla Francji. — On także był pod Verdun.

23.VI. Dziś znów pochody i rozruchy, kilkudziesięciu rannych. W Izbie debaty nad sprawą Jonesa. A ja nie mam

odpowiedzi od moich trzech przyjaciół i ciągle myślę o tajemniczym adresie, który nie wiem komu dałem.

Dziś przyszedł mój znajomy Prester, wszystko stało się jasne. Przed kilku tygodniami spotkaliśmy się w restauracji i wypisałem mu swój adres na kartce papieru. Niedawno był tam znowu i tym razem podpity zamienił palto.

Przez kilka dni nie wychodził z domu i dopiero teraz dowiedział się o przygodzie ze mną. — Zrobiłeś się sławny — zawołał.

Obiecał zrobić wszystko, żeby mnie oswobodzić. Co do moich trzech przyjaciół, to zrobił słuszną uwagę, że napewno nic mi nie pomogą, nie będą chcieli narażać swej opinji przyjaciół Prawa, żeby interesować się losem człowieka oskarżonego o szpiegostwo.

W kwadrans potem wchodzi p. Gauthier, moja oskarżycielka. — Jakże mi przykro — zawołała od progu, — że panu tyle nieprzyjemności zrobiłam. Przepraszam najmocniej, chcę to naprawić, byłam u dyrektora więzienia i wyjaśniłam mu nieporozumienie z paltem, ale on mi powiedział: — Pani, to nie jest kwestja palta, to o Francję chodzi.

— I mimo to pani przyszła?

— Czemu nie, my przecież jesteśmy wielbicielami sprawiedliwości, będziemy się jej domagali aż do skutku, niech pan przeczyta naszą historję. A może panu książek przynieść?

— Ale czy pani słyszała, że jestem posądzony o szpiegostwo, że jestem agentem Moskwy, — że pomagałem Abd-El-Krimowi, że...

— Pan nie wziął palta mego męża — odpowiedziała spokojnie p. Gauthier.

Uścisnąłem jej dłoń.

24.VI. Dziś miałem wizytę mego adwokata, maitre Cholet. Jest to gruby, jowialny jegomość, który przemówił do mnie wesoło.

— Jestem organem sprawiedliwości, mam wiele stosunków, weźmiemy się do dzieła.

Nie wzbudza we mnie wielkiego zaufania, zanadto wesoło tę sprawę traktuje.

25.VI. Dziś w gazetach pierwszy owoc działalności Maitre Cholet. Były to artykuły niedowierzające mojej zbyt rozgałęzionej agitacji szpiegowskiej. Czyż to możliwe, żebym był tak ruchliwym, tak sprytnym i przedsiębiorczym, będąc Amerykaninem? Wiadomo, że Amerykanie są głupi.

Maitre Cholet przybył rozpromieniony.

— Prawda się uwidocznia! — zawołał. — Mój przyjaciel Prester nie daje znaku życia. M. Cholet denerwuje mnie.

27.VI. Co to jest sprawiedliwość? Gdy aresztowano mnie, jako szpiega, cała Francja była przeciwko mnie; dziś, gdy mam obrońcę, stworzyły się dwa obozy pro-Jones i anti-Jones. 14 pism za mną i 18 przeciwko mnie. Wydawcy pism kłócą się z sobą, wyciągają dawne zarzuty, nic nie mające wspólnego ze mną. Przeciwnicy twierdzą, że jestem perfidny, jak Machiavell, i już wolę te zarzuty, niż obronę pseudo-przyjaciół, którzy odmawiają mi szczypty inteligencji. Powiedziałem dziś p. Cholet, że już wolę siedzieć w więzieniu, niż być wypuszczonym jako półgłówek. Odbył się pojedynek między dwoma redaktorami pism. Sądziłem, że pojedynki są zabronione we Francji.

— A prohibicja w Ameryce? — odpowiedział mój dozorca.

Od Prestera kartka z badu: „Pozdrawiam ciebie, pijąc wino".

Napisałem do ministrów spraw zagranicznych i sprawiedliwości, skarżąc się, że obrona moja źle jest prowadzona, nie jestem idjotą. Dziś eskortowany przez 4 żołnierzy byłem u ministrów; pliki papierów stanowiły moje „akta".

— Co pan ma na swe usprawiedliwienie — zapytał.

Opowiedziałem historję z paltem, raz jeszcze. Pan minister słuchał sceptycznie. Mówiłem porywająco, że przyjechałem do Francji w celu poznania wykwintnej kuchni francuskiej, że w moim kraju przeciwnicy mojej sztuki kulinarnej zarzucali mi nieumiejętność przyrządzania pewnej potrawy i to niepowodzenie skierowało mnie do stolicy Francji, żeby znaleźć ukojenie w poznawaniu innych kulinarnych przepisów.

Wielki człowiek wydawał się znudzony. Źle z moją sprawą — myślałem.

— Czy pan jest z Chicago? — zapytał po chwili.

— Nie, panie ministrze, z Windfall, stanu Georgji.

— Z Georgji! byłem tam kiedyś i jadłem znakomitą potrawę z kukurydzy, rodzaj potrawki, czy potrafiłby pan ją przyrządzić?

— Ależ to jest moja specjalność, przepis odziedziczony po matce.

Minister zerwał się z krzesła, nerwowo przeszedł po pokoju i nakazującym ruchem wyrzucił za drzwi żołnierzy.

Zwrócił się do mnie:

— Czy pan nie kłamie? Nikt nie umie ugotować tej potrawy, której smak czuję jeszcze w ustach, po dwudziestu latach. Zabieram pana ze sobą. Jutro mam obiad proszony i pan się zajmie przyrządzeniem potrawki, proszę nie żałować kosztów, ani fatygi.

Żołnierze zostali odprawieni, wyszedłem z ministrem.

1.VII. Nazajutrz był obiad na 20 osób. Byli to przedstawiciele różnych partji politycznych i nienawidzili się wzajemnie. Należeli do klubu gastronomicznego i co dwa tygodnie jeden z członków zapraszał na obiad, na którym musiała być nieznana dotąd potrawa. Przy obiedzie obowiązywało milczenie.

Gospodarz domu miał biały fartuch i czapkę kucharską, było sześciu lokai i sześciu kucharzy. Mój kolega objaśnił mnie, że byli to rojaliści, komuniści, socjaliści, republikanie, ci ludzie zwalczający się wzajemnie na terenie politycznym, schodzili się i zapominali o niezgodach, żeby się delektować wykwintnem jedzeniem.

Uczułem admirację dla Francji — ten kraj jest wielki!

Podano moją potrawę. Czułem dreszcz niepokoju, serce biło gwałtownie. Wtem usłyszałem okrzyk, jakby fanfarę wojenną: ktoś biegł po schodach i po chwili znalazłem się w objęciach wielkiego człowieka. Uściskał mnie z wdzięcznością. Jestem wolny! Wszyscy mi winszują, już niema wroga Francji, nazywają mnie „Grand ami de la France!" Podobno biłem się nad Marną.

Dostanę krzyż Legji Honorowej z napisem: „P. Henryk Jones z Windfall, stanu Georgji, za zasługi oddane Francji". Niech żyje Francja!

Tłumaczyła
Jadwiga Pietraszkiewicz

Wygrałem Miljon

Miljon!...

Ileż nadziei, marzeń, pięknych planów wiąże się z tem słowem. Całe życie, cały świat może się zmienić w radosną bajkę, dzięki takiemu drobiazgowi, jak jedynka z sześciu zerami. Garstka kolorowych papierków, realizująca najrozmaitsze możliwości.

To też we wtorek, 11 kwietnia, w historyczny dzień dla wszystkich grających na Loterji Państwowej, kiedy to po raz pierwszy ktoś miał zostać właścicielem najprawdziwszego miljona, setki tysięcy oczekiwały z niecierpliwością na ciągnienie. Sala ciągnień w dyrekcji przy ul. Nalewki 2 wypełniła się do ostatniego miejsca. W wielu domach już przed 9-tą rano ponakładano słuchawki i otwarto głośniki bo wieść, kto został faworytem fortuny, pobiegła na falach radjowych po całym kraju.

Oczy tych, co przyszli być świadkami ciągnienia, wpatrzone w historyczne bębny, zawierające tysiące marzeń i tyleż zawodów. Kupiec zgnębiony kryzysem i podatkami śni o podniesieniu swego interesu, piękne panie widzą już najcudowniejsze poematy jedwabi i futer, literat pławi już się w gorącem słońcu południa, gdzie spokojnie napisze sobie nową książkę, zblazowamy młodzian oblicza, ile szumnych kolacyjek i hulanek wyprawi — a niejeden bezrobotny widzi dobrobyt w domu i rumiane, roześmiane twarzyczki dzieci. Tysiące oczu wpatrują się z niemą prośbą w odświętnie przybrane, z pięknemi kokardami we włoskach, dwie sierotki Krysię i Janię. Ich to przecież rączki obdarzą za chwilę kogoś miljonem, biednego uczynią człowiekiem bogatym, odpędzą od niego widmo szarej troski. I w największej ciszy, w której nie słychać nawet oddechu, padają dwie cyfry.

Krysia wyciąga różowy zwitek ze stawką, Jasia biały z numerem szczęśliwego losu.

Miljon urodził się w Katowicach, punktualnie o godz. 9-ej rano. Pierworodny syn Polskiej Loterji Państwowej i szczęśliwego przypadku.

Jak okazało się potem, urodził się nie jedynak, lecz trojaczki. Trzy bowiem osoby zostały spółwłaścicielami miljona i radosny ten moment opiły już zapewne uroczyście w ubiegłe święta.

Tyle się mówi i słyszy naokoło o polskiej biedzie. Nieprawda. Jeżeli w dzisiejszych ciężkich czasach tak nagle dostaje człowiek za jedne 50 zł. kilka set żywej, prawdziwej gotówki, nie jest jeszcze źle. Bo dziś tobie, jutro mnie. W każdej następnej loterji każdy z nas ma szanse, by zostać człowiekiem bogatym, by krzyknąć na całe gardło:

— Wygrałem miljon!...

I niech każdy z nas pamięta wówczas o dwóch małych sierotkach, z rąk których otrzyma fortunę. Niech pamięta, aby ułatwić im życie, gdy dorosną i pójdą w świat borykać się z życiem. Niech nie zaślepi go chciwość, jak to niestety miało miejsce z jednym wybrańcem fortuny w Katowicach, w którym pieniądz zabił uśmiech wdzięczności.

Przy następnem ciągnieniu zbierzmy się wszyscy przy loteryjnych kołach. Tam czeka na nas miljon!

S.



POLAK U TURKÓW



Dyrektor naczelny monopoli tureckich Hüsnü Bey wita na dworcu w Stambule inż. Ad. Kucharzewskiego, zaproszonego do zreorganizowania monopoli tureckich

Słucham Radja

Kto w pierwszy dzień wieczorem, oddał się obżarstwu, lub co gorzej pijaństwu i obchodził znajomych, porzuciwszy swe wierne radjo — niech żałuje, bo stracił wiele. Opuścił bodaj najlepszą audycję sezonu: transmisję „Aidy" z la Scali medjolańskiej. Odbiór był świetny: miało się wrażenie, że siedzimy w teatrze la Scala i słuchamy najlepszego zespołu operowego na świecie. Pięknie to było i wdzięczni jesteśmy radjostacji za ten podarunek świąteczny.

Tej samej zresztą niedzieli transmitowano ze Lwowa rzekomo wesołe „słuchowisko muzyczne" — nudną męczącą piłę. Ckliwy sentymentalizm tak oklepanych piosenek baciarskich przejadł się wszystkim, tem bardziej, że audycje te są najniepotrzebniej powtarzane.

Od paru dni mają słuchacze radja atrakcję w osobie nowej speakerki eksperymentującej na naszych nerwach swem niedoświadczeniem i beztalenciem. Należałoby albo skłonić praktykantkę do opanowania pamięciowego wygłaszanych tekstów przed publicznymi występami — albo... wyszukać jakieś odpowiedniejsze dla jej uzdolnień zajęcie, zdala od mikrofonu.

Próby, czynione przez radjostację... „pro foro externo" kosztem audycji, są zupełnie nie na miejscu. Stacja warszawska posiada w swym zespole ludzi prawdziwego talentu, którzy świetnie potrafią stworzyć ścisły kontakt i nastrój między stacją a słuchaczami.

Oto przykład: Nudna, jakby się wydawało „skrzynka radjotechniczna" w ujęciu p. Wacława Frenkla, stała się nadspodziewanie ciekawą i oczekiwaną przez słuchaczy audycją. Ostatnio opowiedziana historja dziewczynki, której bracia nie dopuszczają do słuchawek i biją, oraz monit pod adresem tych braciszków, był wzruszająco miły. P. Frenkel jest obdarzony prawdziwym talentem radjowym; słuchacze zawdzięczają mu wiele miłych chwil i radziby go słyszeć częściej.

Słuchowisko operetki niezłe, chociaż naogół operetki w radjo wypadają blado i nudnie; nie należałoby poświęcać im zbyt wiele miejsca.

Nabożeństwa z Poznania i Wilna oraz transmisje hejnału z wieży Marjackiej nasuwają myśl, czy nie dałoby transmitować od czasu do czasu pięknego hejnału z Jasnej Góry?

Recenzję poranku symfonicznego z Filharmonji znajdą czytelnicy w naszej kronice muzycznej.

Z ciekawszych audycji w następnym tygodniu wydają się nam polecenia godne:

24 kwietnia transmisja z Budapesztu „Oratorjum" w wykonaniu połączonych orkiestr z 150 osób oraz chóru z 300 osób, pod dyrekcją sławnego kapelmistrza Weingaertena.

25 kwietnia Popularny koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej pod batutą p. G. Fittelberga i recital p. Zofji Jaroszewiczowej.

26 kwietnia, koncert kameralny.

27 kwietnia, koncert muzyki lekkiej.

28 kwietnia, w koncercie symfonicznym weźmie udział Mikołaj Orłowski, światowej sławy pianista.

jelaud.



Z dziedziny kosmetyki

Łatwo opalającej się. Jeżeli pani chce zapobiec opaleniu się, to radzę już teraz zacząć stosować *wschodni płyn Mimosa.* Rano, a szczególnie przed wyjściem na powietrze i słońce, natrzeć twarz i szyję watą, zmoczoną we *wschodnim płynie Mimosa.* To samo powtórzyć po przyjściu do domu i jeszcze raz na noc. Ponieważ jest to płyn nietłusty, można go stosoać parę razy dziennie. Puder (nietłusty) można użyć bezpośrednio po natarciu twarzy *wschodnim płynem Mimosa.* Z pudrów używać tylko nietłuste, najlepiej *puder Abarid,* który nie niszczy cery i nie zasklepnia por. Używając *płynu Mimosa,* pozbędzie się pani jednocześnie wszelkich pryszczy i utrzyma czystą, gładką cerę. Jeżeli opalenizna, a szczególnie piegi już się pokazują, to radzę pani na noc stosować *krem Preciosa* i po natarciu twarzy przypudrować wybielającym pyłkiem *Juvenia Candida.* Rano zmyć twarz w dobrze ciepłej wodzie *otrąbkami Abarid* i wśród dnia 1—2 razy natrzeć *wschodnim płynem Mimosa.*

Laikowi. Wąsy i włosy przeciemni pan łatwo farbą *D-ra Jima.* Flakon kosztuje zł. 3.75. Sposób użycia b. łatwy, przy każdym flakonie jest przepis. Jest to najlepsza z krajowych farb do włosów.

P. Zosi w Mińsku. Pomimo zajmowania się gospodarstwem i kuchnią, rączki będzie pani miała zawsze białe i gładkie, o ile po każdem myciu wetrze pani cokolwiek *kremu Prałatów.* Jest to sposób wypróbowany i pewny, i polecam go z całem przekonaniem. Zresztą sama pani przekona się o tem, gdyż już po 2-ch—3-ch dniach rączki będą miały aksamitną gładkość i delikatność.

M-me Ercèdes

Skład główny wymienionych tutaj kosmetyków: *Perfumerja „Perfection" — Marszałkowska 109.*





Przed sezonem wyścigowym

Parę dni dzieli nas zaledwie od otwarcia wiosennego sezonu wyścigów konnych w Warszawie, które się rozpoczynają 30 b. m., chociaż oficjalne otwarcie wyznaczone zostało dopiero na 6 maja, w którym to dniu rozegrane zostaną Handicapy Otwarcia dla trzyletnich i starszych koni.

Nadchodzący sezon zastaje konie wszystkich stajen należycie przygotowane i wygalopowane, czemu sprzyjała tegoroczna zima, umożliwiająca prawidłowe treningi. Nie będzie więc w tym roku takiej przewagi stajen prowincjonalnych nad końmi zimującemi w Warszawie, jaka się uwydatniała w latach ubiegłych. Ujemnie natomiast na zdrowiu niektórych koni odbiła się nierówna wiosna, która powodowała liczne przeziębienia i kaszel, a najbardziej dała się we znaki stajni „Łochów" i L. Dydyńskiego.

Najszczęśliwiej współzawodnicząca w roku ubiegłym stajnia „Lubicz" zimowała w Warszawie. Cała stawka tej stajni wygląda bardzo dobrze, lecz jest jakby trochę opóźniona w robocie. Dotyczy to zwłaszcza Imperatora, który miał pewną przerwę w treningu. Z koni starszych — Krater, Irkut, Halgasz — w zupełnym porządku. Ten ostatni jest jednym z faworytów na Handicap Otwarcia obok Kormorana, Marat'Ona i Irri-Garji. Z trzylatków bardzo dobrze się prezentuje Jawor III, przypuszczalny kandydat na Derby. Dalej — Janczar III, któremu wróżą wielką karjerę wyścigową. Pożytecznym napewno się okaże Jordan II. Z klaczy dużo zyskała i jest najlepszą w stajni Erzebet.

W mniej szczęśliwej w sezonie ubiegłym st. „Natalin" K. hr. Zamoyskiego z koni starszych najlepiej przedstawia się klasowa Finesse, której do pomocy będzie przypuszczalnie dodawany derbista Essor. Wśród trzylatków wyróżniają się: Gentry, Grand-Seigneur, Kuternoga, a z klaczy — Galicja, poważna kandydatka do nagrody „Wiosennej". Koni tej stajni dosiadać będzie doświadczony żokej Pasternak.

W stajni „Alba" na pierwszy plan wysuwa się półbrat Casanowy 3 l. og. Correggio, który jako dwulatek nie ukazał się na starcie, obecnie jednak pracuje normalnie. Doskonałego pochodzenia Lawena przez zimę nic nie zyskała, mimo to porusza się nieźle i jest szykowana na Handicap Otwarcia, jeżeli nie zastąpi jej Pitigrilli, który dużo zyskał w międzyczasie. Generację starszą najlepiej reprezentują: Jawor, Hermes i Kolczuga. Do stajni tej został zaangażowany żokej Jednaszewski.

Niedawno przybyłe z Leszna konie stajni M. Bersona, jak zwykle na wiosnę, są mało „podciągnięte" i zaawansowane. Trzyletnie ogiery: Jawor II, Jaspis i Jumar wyglądają wspaniale. Z całej stawki najlepszym zdaje się być Jaspis, poważny aspirant do Błękitnej Wstęgi. Z klaczy na pierwszem miejscu należy wymienić Laudę II.

Doskonale wyglądają i najbardziej zdają się być „wyfitowane" konie stajni br. K. i S. Enderów, która powinna zaważyć zwłaszcza na początku sezonu. Wspaniale wygląda 3 l. kl. Bernina, która jeszcze bardziej się rozrosła. Konie starsze: Jowisz II, Duce, Jerry — w najlepszym porządku, a nawet stary Guzohan wrócił na tor i ukazuje się na galopach. Do stajni tej na miejsce żokeja Michalczyka, który odbywa służbę wojskową, zaangażowany został mistrz zeszłoroczny — żokej Jagodziński.

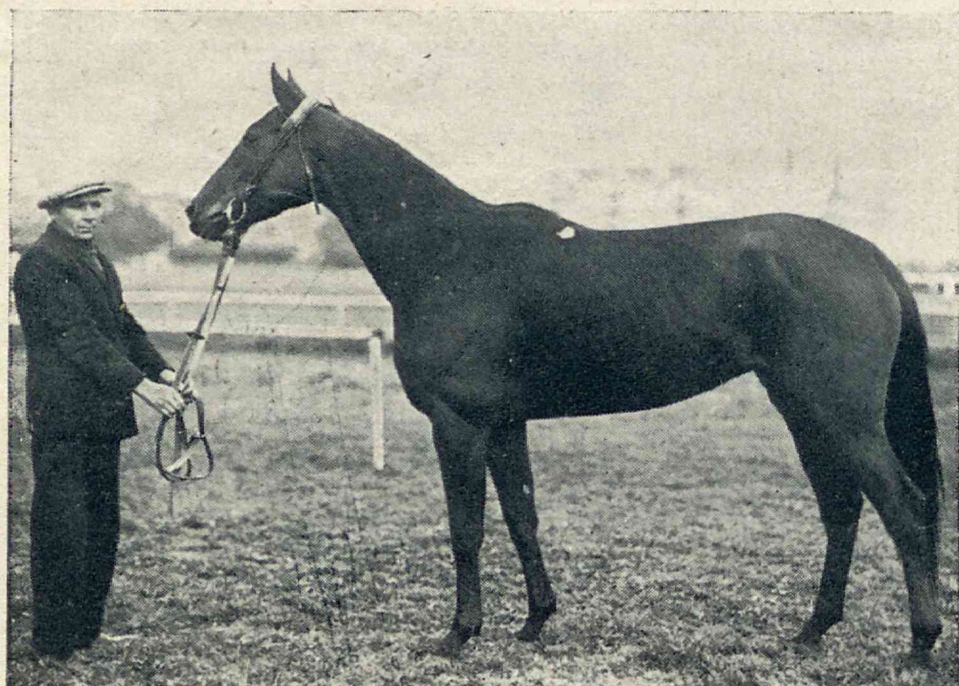
Konie stajni L. Dydyńskiego wskutek zmiennej aury wiosennej nieco niedomagały, jednak teraz już są w dobrej kondycji. Piękny Arnold, który stracił swą nerwowość, zapewne będzie najgroźniejszym kandydatem do tegorocznych Derbów. Nic się nie zmieniła drobna, ale sznytowa Apatin, jedna z najszybszych klaczy na torze. Reszta trzylatków słabsza od wymienionych, jednak wcale nie najgorsza. W stajni tej jeździć będzie żokej Magdaliński.

W nielicznej obecnie stawce p. M. Róga wyróżnia się wspaniałym wyglądem i galopami Hel — główny kandydat do nagrody im. Prezydenta Rzeczypospolitej. Najlepszym trzylatkiem w stajni jest Amarant.

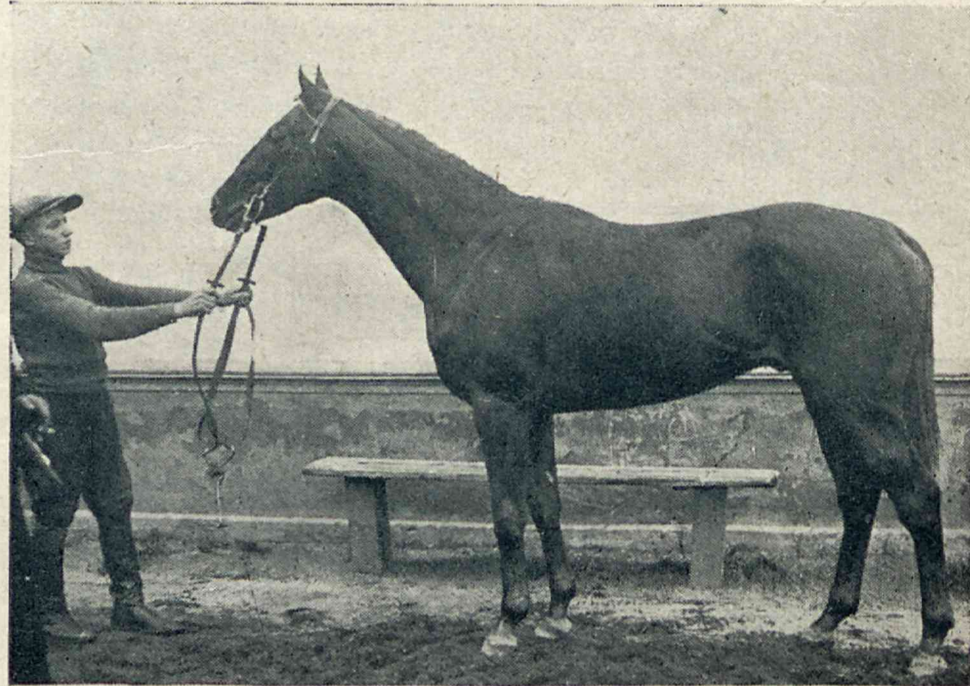
Pod opieką tego samego trenera pozostają konie B. Hessena, z których zwłaszcza Lincoln zapowiada się na klasowego szermierza.

W stajni „Łochów" b. dobrze prezentuje się Genowa, a także poprawiła się Parthian Memories. Z trzylatków Mr. Pinch zdaje się nie być w zupełnym porządku, gdyż przez pewien czas był zatrzymany w robocie. Dużo straciła i mocno niedomagała Marisetta, która jako dwulatka zapowiadała się rewelacyjnie. Nie wiadomo, czy ukaże się ona wiosną na starcie. Do stajni tej został zaangażowany świeżo przybyły z Rumunji żokej Gill, syn znanego na gruncie warszawskim znakomitego żokeja francuskiego.

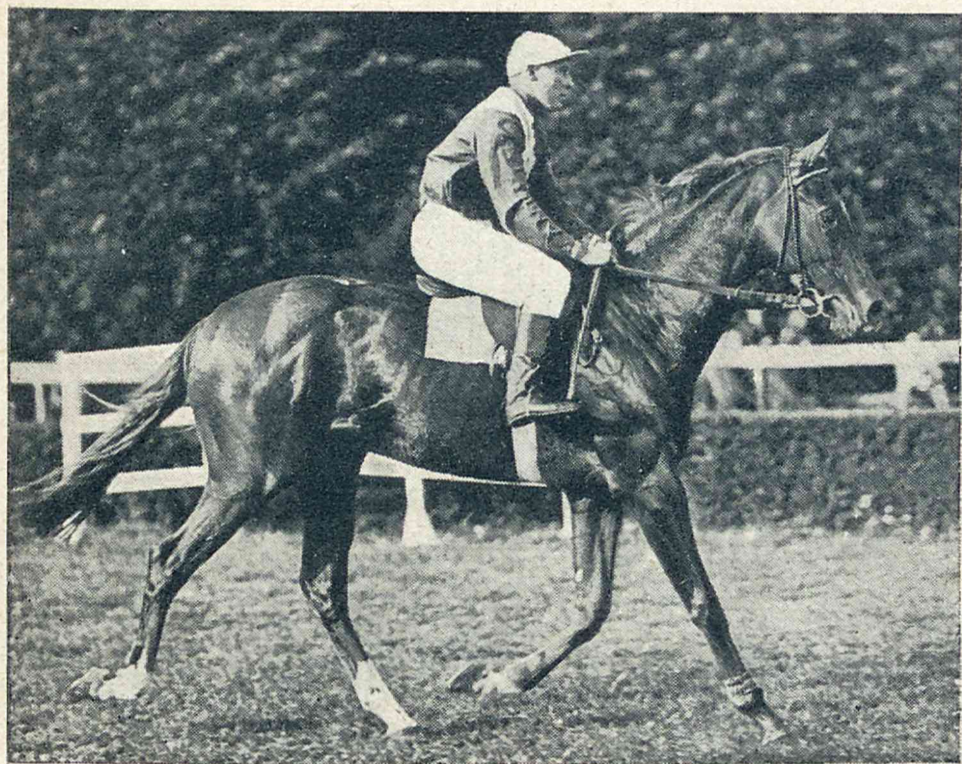
Najlepszym długodystansowcem toru zapewne się okaże w roku bieżącym



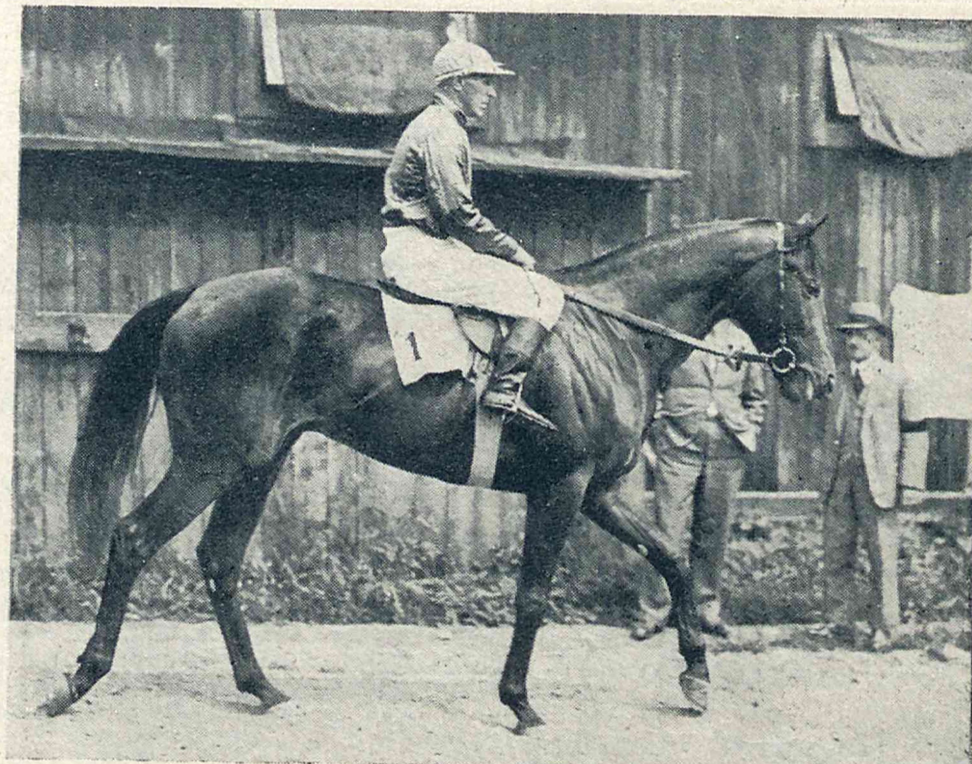
Genowa po zimowych wywczasach na prowincji prezentuje się doskonale (stajnia Łochów)



Piękny Arnold, poważny kandydat do tegorocznych Derbów (stajnia L. Dydyńskiego)



Jawor III, przypuszczalny kandydat na Derby, pod żok. Michalczykiem (stajnia Lubicz)



Hel, główny kandydat do nagrody im. Prezydenta Rzplitej (stajnia M. Róga)

Fot. N. Pełczyński

Firley — p. Tuńskiego. Dam i Lancelot, które biegały w Zakopanem, będą zbierać laury na płotach.

Najpoważniejszy konkurent Arnolda w tegorocznych Derbach — ogier pp. T. Falewicza i Z. Orłowskiego — Wisus przez zimę poprawił się i zmężniał. Dosiadać go będzie żokiej Fomienko. Inne trzylatki tej stajni niczem się nie wyróżniają.

W stajni „Ktery-Szepietów" bardzo dobrze wygląda i energicznie galopuje Wagram, z młodszych Szarfa i Burzan.

Stajnia I. i H. Strzemińskich posiada jednostki wartościowe i należycie przygotowane do wyścigów: z trzylatków — Los, a z koni starszych — Ferrydor, Komandor i Cherry Boy. Do stajni tej zaangażowany został żokej Gołowkin.

Młoda stajnia „Web" posiada dwie wartościowe klacze, sprowadzone z Angji, — Arinarję i Arabellę — przypuszczalne uczestniczki nagrody „Wiosennej".

Stajnia płk. W. Andersa posiada tylko konie czteroletnie, przeważnie nabyte ze stajni „Lubicz". Konie są dobrze wygalopowane.

Stajnia „Bartoszówka" narazie została zlikwidowana i konie przeszły na własność pp. Andrycza i Koskowskiego. Ze stawki wyróżnia się Dżems oraz Dominator, który będzie groźnym konkurentem dla trzylatków. Konie st. A. Budnego wyglądają dobrze. Najlepiej zapowiada się Riwoli, dużo też zyskała przez zimę Maja II.

Ze stajni Publicznej, pozostającej pod zarządem p. L. Rudigera, wyróżniają się dwa trzvlatki, będące własnością p. Morzyckiego — Eclair II i Etincelle.

Oto garść wiadomości, które udało się nam zebrać w przededniu sezonu wyścigowego, a które niewątpliwie zainteresują licznych bywalców toru Mokotowskiego.

Jerzy Borycki

PLANY SKRZYDLATEJ POLSKI

(m) Tegoroczny sezon lotniczy w Polsce będzie niezwykle ożywiony. Właściwie już się on rozpoczął.

W dniu 7 kwietnia wystartował do Casablanca R. W. D. 5, aby tam wziąć udział w raidzie okrężnym algiersko-marokańskim.

16 kwietnia odleciały polskie samoloty do Sofji, dla wzięcia udziału w otwarciu letniego sezonu linji powietrznych „Lotu". W raidzie bułgarskim uczestniczy 5 polskich samolotów.

24 i 25 maja Aeroklub warszawski urządza drugi międzynarodowy meeting lotniczy w stolicy. W meetingu przyrzekli wziąć udział Czesi, Jugosłowianie, Holendrzy, Belgowie, Estończycy, Łotysze, Francuzi. Wielce prawdopodobny jest również współudział Włoch i Anglji. Dla szerokiej publiczności przewidziane są pokazy nieznanych dotychczas w Polsce typów maszyn — np. autogiro (samolot z wiatrakiem).

Z pośród lotów zagranicznych na czas najbliższy przewidywany jest udział zawodników polskich w meetingu wiedeńskim w dniach 20—21 maja, oraz w meetingach czechosłowackich.

Z pośród planowanych lotów krajowych należy zanotować, Zlot Podhalański w Nowym Targu i 5-ty Lot południowo-zachodniej Polski, organizowane przez Aeroklub Krakowski.

Lwów urządza meeting, połączony z 5-leciem istnienia Aeroklubu Lwowskiego.

Poznań i Gdańsk organizują zawody połączone ze zlotem nad morze.

Wilno zamierza zorganizować Lot Północno-Wschodniej Polski.

We wrześniu odbędzie się 5-ty krajowy konkurs samolotów turystycznych — L. O. P. P.

Silnie rozwija się też szybownictwo polskie. W Polichnie i Bezmiechowej odbywają się kursy szkolenia szybowcowego — przy współudziale nietylko polskich szybowników, ale i uczniów z Czechosłowacji, przybywających do Polski na praktykę szybowcową. W szeregach szybowników nie brak i kobiet. Aeroklub warszawski posiada w swem gronie szybowniczkę najwyższej grupy C. — p. Ewę Downar Zapolską.

Z inicjatywy Aeroklubu warszawskiego powstaje w stolicy pierwszy miejski ośrodek lotów wleczonych (holowanych), przyczem starty odbywać się będą przy pomocy samochodu lub samolotu.

W sierpniu polska ekipa szybownicza, którą tworzyć mają świetni polscy szybownicy: Ciastula, Oleński, Stępniewski — weźmie udział w międzynarodowych zawodach w Rhön.

W Warszawie powstaje nowe lotnisko — na terenach Gocławka.

Polska skrzydlata nie daje się zdystansować innym państwom.

Wiosna nadchodzi

Wraz z nadchodzącą wiosną rozpoczyna się dla naszych pań szereg trosk, związanych z pielęgnowaniem cery, a zwłaszcza jak uchronić się od piegów, występujących zazwyczaj z pierwszemi promieniami wiosennego słońca.

Powszechnie, jednak, dziś królująca kosmetyka ma na swe usługi tak potężny lek przeciw piegom, jakim jest znany od wielu lat krem „Cazimi Metamorphosa", że absolutnie nie należy obawiać się zeszpecenia cery i można z całym spokojem, po urpezdniem użyciu tego kremu, napawać się słońcem i wiosennem powietrzem.

Krem „Cazimi Metamorphosa" radykalnie usuwa piegi, wągry, zmarszczki i inne wady cery, czyniąc ją jedwabistą i powabną.

Osiedle podstołeczne Jabłonna

Znana jest powszechnie bajka Krasickiego o myszce i żółwiu, oraz o domku „ciasnym ale własnym". W każdej bajce zawarta jest życiowa prawda. Dążenie do własnego domu jest celem każdego człowieka, dom jest bowiem tą przystanią, do której zawsze bezpiecznie można się schronić przed troskami życia, odpocząć i nabrać sił do dalszej walki.

W ostatnich latach w społeczeństwie daje się zauważyć zrozumienie, że mieszkanie w domach czynszowych nie jest wygodne i ekonomiczne. Każdy zresztą chce być panem na własnych śmieciach i dąży do własnego domu. Rozwijający się, mimo kryzysu, ruch budowlany, opierający się na tem zrozumieniu, umożliwia dziś nabycie własnego domu bez specjalnych wkładów, na jakie jeszcze do niedawna pozwolić mogli sobie tylko ludzie zamożni. Dziś przy niewielkim wysiłku i wkładzie finansowym marzenie stało się rzeczywistością, niezbyt trudną do realizacji.

Obecnie zarząd dóbr Maurycego Potockiego przeznaczył część Jabłonny na parcelację mieszkaniową, pragnąc w ten sposób ułatwić posiadanie każdemu własnego dachu nad głową, wraz z ogródkiem i czystem powietrzem, jakiego napróżno szukać w Warszawie. Wydzielono tysiąc parcel, mniejwięcej po 1600 m^2 każda, po wyjątkowo niskiej cenie. Parcela wraz z domkiem czteropokojowym, zaopatrzonym we wszystkie wygody i urządzenia, kosztuje 13.000 zł.; z trzypokojowym 11.500, przyczem zaznaczyć należy, że warunki spłat są bardzo dogodne.

Jabłonna jest miejscowością suchą, lesistą, o dobrych warunkach klimatycznych, a jako osada rozwija się pomyślnie, posiadając własną elektrownię, szereg sklepów i warsztatów, pomoc lekarską, i co najważniesza, doskonałą komunikację kolejową i autobusową, umożliwiającą ludziom pracy zamieszkiwanie tutaj.

Ze względu na swoje dogodne położenie, oraz warunki klimatyczne, Jabłonna posiada bardzo wielką przyszłość jako osiedle podstołeczne. Od rozpoczęcia parcelacji przed 6 laty już dziś liczy 15.000 mieszkańców, stając się uroczą miejscowością nietylko letniskową, ale przedewszystkiem mieszkaniową, zbliżającą się coraz bardziej do rozwijającej się Warszawy. Zaznaczyć należy, że budowa domków, prowadzona przez rutynowanych architektów, daje zupełną gwarancję zarówno pod względem estetycznym, jak i codziennej wygody. Domy są konstruowane w ten sposób, aby wszystkim izbom mieszkalnym zapewnić największe ilości słońca i powietrza.

Dziś więc każdemu bardzo łatwo zrealizować marzenie o własnym domku, który tem się różni od owego z bajki, że jest nietylko „własny", lecz również bardzo wygodny i tani.

J. W.

Rozrywki Umysłowe

№ 110 (212) Nasze hasło

Ułożył K. Lilpop.

(Za rozwiązanie 7 punktów)

W daną figurę wpisać 14 poziomych wyrazów o poniższem znaczeniu; pierwsze i ostatnie litery dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Potwór bajeczny z łbem lwim, ciałem koziem i ogonem smoczym. 2. Smoła, którą pszczoły zatykają szpary ulów, perha. 3. Gotowy do ofiar, wspak. 4. Substancja zwierzęca lub roślinna. 5. Święta księga mahometan. 6. Prawnik, znawca prawa. 7. Rodzaj ubrania na głowę, dla kobiet. 8. Największa rzeka w Birmie. 9. Siły, moce. 10. Wydawać głos przeciągły ć = ś. 11. Imię męskie. 12. Rodzaj czcionek drukarskich. 13. Barwnik chemiczny. 14. Krzesełko bez poręczy i oparcia.

№ 111 (213) Kwadrat magiczny

Ułożył Zenon Brenek.

(Za rozwiązanie 5 punktów).

W pola kwadratu wpisać siedm wyrazów, które czytane poziomo i pionowo dadzą jednobrzmiące znaczenie.

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto na wyspie Majorce. 2. Ceremonjalne uściśnienie nowoprzybyłego do jakiegoś zakonu, rycerskiego lub stowarzyszenia tajnego. 3. Robiący noty. 4. Ciecze powstające przy rozpadzie jedwabiu. 5. Marszałek Francji 1637 † 1712 pobity przez ks. E. Sabaudzkiego pod Capri. 6. Rząd owadów (ważki, nazwa łacińska). 7. Osobliwość, rzadkość.

№ 112 (214) DOPEŁNIANKA

(Za rozwiązanie 5 punktów)

R	Z									
	R	Z								
		R	Z							
			R	Z						
				R	Z					
					R	Z				
						R	Z			
							R	Z		
								R	Z	
									R	Z

Powyższą figurę należy dopełnić w ten sposób, aby powstało 10 wyrazów 11-o literowych o podanem znaczeniu.

Znaczenie wyrazów: 1. Chrząszcz z rodziny stonkowatych. 2. Szczelina w ziemi, wada organiczna wrodzona, lub nabyta. 3. Gatunek wódki. 4. Przyrząd służący do dołączania i odłączania ogniw akumulatorowych, celem otrzymania właściwego napięcia baterji. 5. Herb polski. 6. Rodzaj małża bezgłowego. 7. Roślina z rodziny strąkowych, o ziarnach jadalnych. 8. Roślina z rodziny wiłulkowatych, niepokalanka. 9. Pogardliwa nazwa nadawana Niemcom. 10. Uprzednie obliczenie przypuszczalnych dochodów i wydatków.

Rozwiązanie zadań

Nr. 103 (205) ELIMINATKA

Znaczenie wyrazów: 1. Juhas. 2. Huk. 3 i 4. Świat. 5. Ems. 6. Unieś. 7. Miech. 8. Polak. 9. Sowi. 10. Sun. 11. Sig. 12. Dynie. 13. Huby. 14. Ułus. 15. Bursa. 16. Sute. 17. Humus. Klucz — Hus. — „Jak świat światem — niemiec polakowi nigdy nie był bratem".

Trafne rozwiązania nadesłali:

№ 103 (205). (Za rozwiązanie 5 punktów). Łucja Przechadzka (Piotrków). Fr. Wiśniewski. Zenon Brenek. Inż. Modrzejewski (Lublin). Jawna Kowalska. Marja Bugajska (Kłobucko). N. K. Kozłowski. Dorota Hebstmanówna. Kaz. Wiśniewski. Marja Strubel. Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). Stefanja Cywińska (Łomża). Helena Millerowa (Kraków). Ksawery Faliński. Józef Zbyszewski (Kraków). Antonina Solecka. Wiktor Rawicz. Tadeusz Pomianowski. Feliks Siedlecki (Poznań). Gertruda Wolska. Jan Kowalski. Henryk Ostrowski. Tadeusz Ritter. Zofja Górska. Bolesław Nowak. Jerzy Halski. Wiktor Sawicki. Tadeusz Noskowski. Cecylja Lewandowska. Stanisław Tański. Karol Waldenberg (Łódź). Janina Rowińska. Ola Borman. Henryk Walewski (Lwów). Wacław Tyblewski (Poznań). Z. Tietz.

ODPOWIEDZI KIEROWNIKA DZIAŁU:

Wp. Jadwidze Kwiekowej w Dobrzelinie. Rozwiązanie zadania № 102 otrzymaliśmy z opóźnieniem. Za trafne rozwiązanie zaliczamy WPani należną ilość punktów. Prosimy o punktualniejsze nadsyłanie rozwiązań.



W NOWYM YORKU

BEZROBOTNY W OGONKU: A ty, stary, kim byłeś, zanim stałeś się bezrobotnym?
— Miljonerem..



WŚRÓD KANGURZYC

— Córko! Czy to aby nie zawcześnie?

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., kwart. 15.— zł., z odnoszeniem do domu mies. 5.50 zł., kwart. 16.50 zł., na prowincji mies. 6.— zł., kwart. 18.— zł. Zagranicą mies. 8.— zł., kwart. 24.— zł., półr. 48.— zł., rocznie 96.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł.

Redaktor *St. Krzywoszewski*. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o Druk. Galewski i Dau, Warszawa.



P